ROCZNIK II. Dnia 11. listopada 1911. ZESZYT XLVI.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

Z. MIŁKOWSKI.

O POWSTANIACH RZECZ KRÓTKA.

I.

Kwestya powstaniowa w żadnym chyba kraju ak bardzo, tak mocno i tak żywo ludzi nie obchotdzi, jak Polaków i nie- Polaków w Polsce i poza nią, bez różnicy tych zaborów — więzień, na jakie ona, sądem trójzmowy otaczających ją mocarstw, na wieczne skazaną została czasy.

Czy na wyrok ten, tak podobny do wyroku, za jakim Waleryan Łukasiński w Petropawłowskiej zmarł *kriepostі*, Polska zasłużyła?

Przed odpowiedzeniem na pytanie to, odpowiedzieć należy na następujące:

Zabory są, czy nie są więzieniami?

Odnosi się ono do Austryi, jedną ją bowiem w zacnem trójgronie, co Polską się podzieliło — jedną ją, która działowi swemu niejakie w r. 1867. folgi autonomiczne nadała, pytanie to zdziwić by mogło.

— „Jakto, Polacy sami, — Galicyaninami przezemnie najłaskawiej przezwani — rzec by niejakie prawo miała — Gołuchowscy nie-Gołuchowscy, Tarnowscy nie-Tarnowscy, Bilińscy nie-Bilińscy, Smolkowie, Ziemiałkowscy nawet, wierni słudzy moi, niebiosom za przygarnięcie ich przezemnie do łona mego dziękują... i przygarnięcie to więzieniem by być miało?!...“

Niesłusznem jednak byłoby zdziwienie to, jeżeli nie dlatego, że Polakom, których nazwa *„Galizien und Lodomerien“*, części ojczyzny ich nadana, razi i którym trudno zapomnieć, że bez Austryi Polska rozebrana by nie była, to dlatego, że nadanie bardzo *nolens* części tej folg autonomicznych dziś-jutro odjętem być może.

Galicya autonomii pozbawiona być z dziś na jutro może wcale nie skutkiem fantazyi, od której natura człowieka nie uwalnia władców najsumienniejszych, lecz mocą okoliczności, nastrajających polityka dziś tak, jutro inaczej.

Dziś np. nastrój nakazuje Austryi ugłaskiwać Polaków wobec prawdopodobieństwa wojny z Rosyą na podłożu tej kwestyi europejskiej, która nosiła do końca wieku XIX. nazwę „wschodniej“, a staciła ją w pierwszem pięcioleciu wieku XX., skutkiem wynurzenia się kwestyi tej w Azyi na skórze moskiewskiej.

Przybrała ona w Europie nazwę „bałkańskiej“.

Kwestyę bałkańską nagle i niespodziewanie rozbudziła włoska pożądliwość ekspansyjna, przejmująca

również, jeżeli nie bardziej gwałtownie, Rosyę, od czasów Katarzyny W. łakomiącą się na Konstantynopol, a przytem nie mniej gwałtownie dla armii swojej pragnącą wawrzynów, z których ją Japończycy w Mandżuryi obdarli doszczętnie.

Przewidywanie wojny tej, nad zażegnaniem której dyplomacya pracuje i — co jest rzeczą możliwą — trójprzymierze angielsko-francusko-rosyjskie szykuje, Austryę dobrze już dla Polaków za oświadczenie ich „chcenia stać przy niej" usposobioną, usposobiło dla nich, do wojny przeciwko Rosyi ochoczych, jeszcze w tym razie lepiej. Gdyby się trójprzymierze uszykowało i do niego przyłączyły Włochy, w czwórprzymierzu tem dwa głosy (rosyjski i włoski) za wojną by z pewnością były — za wojną, interesującą Austryę bezpośrednio, Prusy zaś pośrednio i przymusowo.

Na co w wypadku takim Prusy by się zdecydowały: czy nie na takie z przymierzem z Austryą, jak z przymierzem z Polską r. 1792. i z przymierzem z Francyą r. 1813. obejście się? — kto to odgadnie!... Nie mało o czci i heroizmie Prus do powiedzenia ma historya. Jej to zostawmy. Nas obchodzi powstańczy Polaków do Austryi stosunek: ogólny — podobny do stosunku w dwóch innych Ojczyzny naszej zaborach, szczególny — odmienny. O ogólnym rzekniemy słówko później; szczególny odnosi się do obecnego nastroju politycznego, który może zniewolić Austryę do wzięcia udziału w wojnie. Nastąpiłoby to w razie, gdyby ją Rosya, ufna w trzymaniu na wodzy neutralnej Prus przez Anglię i Francję, na teatrze bałkańskim zaczepiła.

Co w razie takim i dla czego poczęliby Polacy austryaccy, daje miarę psychiczną tężyzny ich powstańczej.

Austrya Polskę nie mniej, niż Rossya i Prusy skrzywdziła, bez niej bowiem — sprzymierzeńczyni konfederacyi barskiej — Polska by rozebraną być nie mogła. Następnie zaś, lat sto bez mała, niszcząc przyswojony przez się dział materyalnie i moralnie, germanizując dział ów nie łagodniej, aniżeli Prusy swój obecnie, obdzierając go ze wspomnień dziejowych (niemczenie nazw krajowych) i pamiątek kulturalnych (zamek królewski w Krakowie), nie sfolgowała ucisku systematycznego, aż sama nad przepaścią się znalazła i Galicyę z Lodomeryą, oraz z nabytem r. 1846. Księstwem Krakowskiem, u d o b r o d z i e j s t w o w a ć, przy pomocy fermentującego w tym dziale Polski zaczynu targowickiego, musiała.

Zaczyn ów odwzajemnił się jej w sposób, świadczący, że Polacy wdzięcznymi być umieją.

Austrya, mimo wysiłki nadludzkie, zgermanizować nie zdołała Galicyi z Lodomeryą i Krakowem; zaczyn zaustryjaczył ją tak wnikliwie, iż niemało demokratów najzawziętszych, krakowskich i lwowskich, ani się domyśla tego, że są Austryakami pochodzenia polskiego. Dla nich to Austrya, w czasach ostatnich, ochłodła nieco dla Rusinów, którymi się posługuje w polityce *divide et impera* w odniesieniu nawet do najwierniejszych jej stańczyków; dla nich mocno przygniotła wszechpolaków, których nie tak dawno ugłaskiwała. A robiła to nie bez racyi, reorganizując — skutkiem niepowodzeń, jakie ją w wojnach od r. 1848. do r. 1866. spotykały — armię i licząc na waleczność wchodzącego do jej składu materyału narodowościowego. To ostatnie zwróciło na siebie państwową uwagę r. 1887., gdy Austryi wojna z Rosyą zagroziła i do wojny tej szykowała Polaków i Węgrów. Z Polakami i Węgrami sama do czynienia, jako z przeciwnikami, miała i oni się jej — jako tacy — mocno we znaki dali. Dziś, nie wątpiąc, co się Polaków tyczy, że oni — skutkiem wyświadczonych im przez nią d o b r o d z i e j s t w — przy niej „stoją i stać chcą", ufa im i w pokoju i w wojnie.

W pokoju nie komu innemu, tylko im — namiestnictwo — mimo ustawiczne domaganie się Rusinów o Niemców — powierza, ich stale galicyjskimi ministrami bez teki mianuje, ich nierzadko do grona ministrów i niekiedy do przewodniczenia gabinetom powołuje, nimi urzędy wysokie obsadza, co zaś do tytułów ekscelencyi, do kołnierzy złotych, orderów, do tytułów takich, jak baroński i hrabski (które kupować należy) — tych, jak gwiazd na niebie, zliczyć nie sposób.

Co się atoli wysokich, naczelnych stanowisk wojskowych tyczy, od tych Polacy — z obawy snadź, ażeby śród nich przy sposobności nie zdarzył się Wallenrod jaki (poemat pod tytułem tym znany jest przypuszczalnie w głównych sztabach austryackich, jak go znają w rosyjskich) — trzymani są z daleka. W szeregach żołnierskich, w szeregach Bartków, zwycięzców szczególnie, polska wartość bojowa cenioną jest wysoko. Gdyby przeto obecny zagadkowy nastrój polityczny do wojny Austryi przeciwko Rosyi doprowadził, nie komu innemu w pierwszym rzędzie, jeno Austryakom pochodzenia polskiego dozwolonem by zostało dokazywanie cudów waleczności.

To ich rola. Zasługa zaś urobienia tej nowej rasy polskiej należy całkowicie mężom stanu z wysokiej dyplomacyi krakowskiej. Stworzyła ją ona — przez co nietylko przeciwko powstaniom orężnym, lecz i przeciwko konspiracyom polskim państwo Habsburgów zabezpieczyła.

(C. d. n.).

BOJOMIR 1911. 12.

W. LIS.

Nowy czynnik w polityce wszechświatowej.

Holenderski deputowany socyalistyczny, T r o e l s t r a, oddał demokracyi wielką przysługę swą, co prawda, wysoce niedyskretną rewelacyą o zabiegach, czynionych „przez członków rządów, aby zapobiedz grożącej wojnie“, przyczem nadmienił, iż ci członkowie rządów potrafią, w razie potrzeby „trafić do Międzynarodowego Biura Socyalistycznego“. Szło tu oczywiście o zapobieżenie wojnie o Marokko, między Francyą a Niemcami.

Informacya, udzielona światu przez posła Troelstrę, zbyt była ważna, by mogła przejść niepostrzeżenie. Po pismach holenderskich pochwyciła ją „F r a n k f u r t e r Z e i t u n g“. Rządy niemiecki i francuski pospieszyły z zaprzeczeniem. Na to Frankfurterka odpowiedziała, cytując nowe szczegóły. Organ socyalistów belgijskich (zatem i Międz. Biura Soc., które ma siedzibę w Brukseli), „Le Peuple“, oświadczył, że „ta wiadomość może być prawdziwą“. Wreszcie „Vorwärts“ — organ centralny socyalistów niemieckich — napisał, że „ograniczy się do uwagi, że demonstracye berlińskie ani pośrednio, ani bezpośrednio nie stoją w związku z powyższymi wypadkami, gdyż odbyły się p r z e d t e m“. A bezpośrednio za tą uwagą, „Vorw.“ przypomina, że d. 16 września pomieścił on telegram z Paryża o uznaniu przez francuską partyę socyalistyczną konieczności „natychmiastowego zwołania Międz. Biura Soc.“ — co też nastąpiło.

Zdaje się zatem, że twierdzenie posła holenderskiego jest prawdziwe. Jakie są szczegóły tej sprawy, o tem dowiemy się kiedyś i to wielkiej roli nie odgrywa. Czy prawdą jest, że większość szowinistów francuskich (zatem i Delcassé, minister marynarki i znany zwolennik wojny) była za wojną, a prezes ministrów francuskich, oraz rząd niemiecki starali się utrzymać spokój, czy może w grę wchodziły inne jakieś kombinacye, to ma znaczenie dla historyi. Dla polityki zaś znamienny jest fakt, że po raz pierwszy od dość dawnych już czasów jakieś stronnictwo ludowe — w tym wypadku partya socyalistyczna s w e m w m i ę s z a n i e m s i ę d o p o l i t y k i m i ę d z y n a r o d o w e j w p ł y n ę ł a n a j e j b i e g.

Dla ocenienia tego wypadku przypomnijmy pokrótce jego przesłanki. Francya oddawna już starała się uzyskać wpływ na Marokko, korzystając z rosnącej słabości tego państwa, które graniczy ze starą Kolonią francuską — Algierem. Niemcy, w swej pogoni za posiadłościami zamorskiemi, usiłowały jej w tem przeszkodzić. Już przed kilku laty groziła z tego powodu wojna, ale pogodzono się ostatecznie. Międzynarodowy traktat w Algeciras, oraz specyalna umowa Francyi z Niemcami, zagwarantowały niezależność Marokka, jednakowe traktowanie wszystkich państw pod względem ekonomicznym (w sprawie ceł, koncesyi i t. p.), oraz udzieliły Francyi prawa doglądania porządku w Marokku. Korzystając z tej prerogatywy, Francya wysłała swą armię do stolicy Marokka, Fezu, dla poskromienia rozruchów, które rzekomo tam wybuchły. Jednak po stłumieniu tych „rozruchów“ (co nastąpiło jakoś bardzo prędko, prawie bez rozlewu krwi), rząd francuski obowiązany był, na mocy traktatów, wycofać swe wojska, do czego oczywiście nie miał najmniejszej ochoty. Lecz każdy traktat o tyle ma znaczenie, o ile jest ktoś, kto pilnuje jego wykonania. Tymczasem z mocarstw zainteresowanych, Anglia już dawno dała Francyi wolną rękę w Marokku za pewne ustępstwa w Egipcie, Hiszpania zabezpieczyła się, zajmując dwa miasta marokkańskie, Larrasz i El Ksar, zaś Włochy prawdopodobnie wymówiły sobie prawo bezkarnego najazdu na Trypolis. Pozostawały Niemcy.

Otóż rząd niemiecki zrobił krok, który odpowiadał w gruncie rzeczy najzupełniej widokom Francyi, mianowicie wysłał krążownik „Pantere“ do portu marokkańskiego Agadiru, dla „obrony mienia i osób niemieckich poddanych“. Było to złamaniem traktatu w Algeciras, gdyż prawo czynienia tego przysługiwało tylko Francyi. Teraz rząd francuski miał ręce rozwiązane. Szło tylko o porozumienie się z Niemcami, jakie wynagrodzenie dać im za zrzeczenie się swoich pretensyi do Marokka. Jak wiadomo, porozumienie to obecnie jest dokonane. Ale podczas pertraktacyi była widocznie chwila, gdy któryś z rządów, ulegając presyi finansistów, mających wielki interes w zaanektowaniu lub zdobyciu pewnych kolonii — zdecydował się na wojnę. I wtedy to w porę zjawiła się interwencya robotników francuskich i niemieckich, która wprawdzie nie zapobiegła podziałowi Marokka, ale przeszkodziła wojnie, może jeszcze bardziej bezmyślnej i okrutnej, niż dzisiejsza wyprawa włoska na Turcyę.

Z faktu tego nie podobna wysnuwać sangwinicznych wniosków, że w przyszłości można będzie zapobiedz wszelkiej wojnie (czego zresztą nie zawsze należałoby sobie życzyć, np. gdyby szło o wojnę z Rosyą), ale ma on pomimo tego b a r d z o d o n i o s ł e z n a c z e n i e. Natchnie on stronnictwa ludowe wiarą w możność wpływania na bieg spraw międzynarodowych. A t e j w i a r y, t r z e b a p r z y z n a ć, d o t ą d w w i ę k s z o ś c i w y p a d k ó w n i e b y ł o.

Jest to rzeczą naturalną, że stronnictwa demokratyczne mniej zajmują się polityką międzynarodową od konserwatywnych. W Anglii, gdzie do niedawna panował system dwóch wielkich partyi, obejmujących wszystkie odcienie myśli politycznej, konserwatyści byli zawsze daleko bardziej energiczni na zewnątrz od liberałów. Nazywamy to rzeczą naturalną, gdyż demokracya zwykle pochłonięta jest walką o reformy wewnętrzne. Ale historya pokazuje nam, że wojny często silniej od czegokolwiek innego wpływają właśnie na wewnętrzne stosunki państw. Dlatego partya, która nie będzie się wcale starała wpłynąć na politykę zagraniczną, może mimowoli sprowadzić największe klęski na tych, którzy widzą w niej swe przedstawicielstwo.

Otóż pod tym względem w ciągu ostatnich kilkudziesięcioleci ewolucya odbywała się pozornie — w kierunku wręcz przeciwnym interesom ludu i demokracyi. Dyplomacya zmonopolizowana została przez sfery rządzące. Nawet większość parlamentów utraciła możność wpływania na tę sprawę inaczej, jak tylko za pomocą odmawiania kredytów post factum, co zresztą prawie nigdy nie następowało. Zaś poza parlamentami, zdawało się, niema żadnej siły, któraby mogła wpłynąć na dyplomacyę. Żeby dopiąć tego celu, trzeba było chyba dokonać rewolucyi, a na to nikt się nie odważał, szczególniej, gdy szło o interesy innego jakiego narodu.

Gdy w r. 1893, na zjeździe socyalistów różnych krajów w Zurychu, deputowany holenderski, Domela Nieuwenhuis postawił wniosek, by w razie wojny proletaryat socyalistyczny obu walczących państw zastrejkował, wtedy wypowiedział się przeciwko niemu prawie cały Kongres. I odtąd analogiczne wnioski zrobienia strejku powszechnego stale bywają odrzucane. Działają tu dwa czynniki. Z jednej strony zwolennicy strejku powszechnego zwykle wychodzą z założenia „pacyfistów“, dla których wszelka wojna, wszelki rozlew krwi są czemś potępienia godnem. Tacy pacyfiści skłonni są często ignorować potrzebę obrony niezależności danego kraju, byle nie utracić swej antymilitarnej dziewiczości. Jest to zupełnie wyraźne u antymilitarysty Hervé'go, który jest nawpół anarchistą, również u Nieuwenhuisa, który z czasem stał się anarchistą zupełnym. Niechęć do tego rodzaju antymilitaryzmu skłoniła np. Delegacyę polską do głosowania przeciwko Nieuwenhuisowi. Ale jest jeszcze jeden czynnik, mianowicie zakorzenione do niedawna u wielu socyalistów przeświadczenie, że przeciwko wojnie walczyć nie podobna.

Rok, który dobiega teraz do schyłku, dał nam dwa przykłady przerośnięcia faktów ponad teoryę w tej sprawie. Jednym jest zachowanie się robotników włoskich po wytoczeniu wojny Turcyi. Sprawa ta stanowczo nie została dostatecznie oceniona, zwłaszcza przez naszą prasę, która jednakże ma dosyć powodów, by takie rzeczy uważnie regestrować. Robotnicy włoscy nie potrafili, co prawda, zapobiedz wojnie, ale zrobili oni więcej, niż jakakolwiek partya polityczna w czasach nowożytnych. Dotąd, jako bardzo poważny protest przeciwko wojnie niesłusznej, cytowane jest zachowanie się Zarządu partyi socyalistycznej w Niemczech w r. 1870. Tymczasem wtedy był to tylko protest pięciu ludzi, którzy co prawda narażali się na wielkie niebezpieczeństwo (i faktycznie przesiedzieli parę lat w więzieniu), ale za którymi masy wcale nie poszły. Tymczasem teraz mamy do czynienia ze strejkiem zupełnym w 125 miejscowościach, przyczem zauważyć należy, że strejk we Włoszech uważany jest za „zupełny“ tylko wtedy, gdy sklepy są zamknięte, tramwaje nie kursują itd. W kilku miejscach lała się krew. I podczas dalszego przebiegu wojny rząd włoski na pewno będzie się z tem liczył.

Drugim faktem jest interwencya w sprawie marokkańskiej.

Początek zawsze jest trudny — mówi przysłowie francuskie. Ale gdy on zostanie dokonany przez partyę ludową, składającą się z wielkich mas, to wewnętrzna logika wypadków pchać ją będzie coraz dalej. I nie są może tak odległe czasy, gdy zapobiedz będzie można wojnie niesłusznej, najazdowi na naród wolny, lecz słabszy.

GRABOWIEC.

U WSTĘPU ERY STÜRGKHA.

Wiedeń 8. listopada.

Mowa barona Gautscha z 27. z. m. nie była więc programem, lecz pożegnaniem i testamentem. Dziś słowa, wypowiedziane w zakończeniu tej mowy, tem większego nabierają znaczenia:

„Obserwacya — mówił Gautsch — naszych stosunków parlamentarnych daje widoki, których nie można nazwać różowymi, lecz przeciwnie bardzo ponurymi. Nie mogę się pozbyć obaw poważnych; obaw, które we mnie są może tem żywsze, ile że nie potrzebuję zapewniać, iż jestem szczerym przyjacielem **każdego** systemu **parlamentarnego**“.

Nowo mianowany prezydent rządu, Karol hrabia Stürgkh, nie omieszkał ze swej strony powitać Izbę mową programową. Wygłosił ją na posiedzeniu 6-go bm. a opinia niemal zgodnie orzekła, że mowa ta była uszeregowaniem najbardziej postarzałych frazesów ministeryalnych.

Mimo to, są w przemówieniu Stürgkha ustępy, które za bliższem rozpatrzeniem nabierają wypukłości i znaczenia zasadniczego.

Hrabia Stürgkh powiedział między innemi:

„Mówię jako szczery przyjaciel parlamentaryzmu i ponieważ jest to moim obowiązkiem zaprzysiężonym służyć konstytucyjnym urządzeniom **tak**, iżby się rozwijały mocami żywemi i błogosławionemi“.

Odrzućmy poezyę ministra austryackiego do kosza, a to, co zostanie, wywołać potrafi obawy poważne.

Stürgkh niemal słowami Gautscha ofiaruje swą komitywę i przyjaźń względem konstytucyonalizmu, ale równocześnie w tem samem zdaniu czyni wyraźne zastrzeżenia.

Służyć chce urządzeniom konstytucyjnym tak, iżby się rozwijały.

Argumentum a contrario: Stürgkh nie będzie służył konstytucyjnym urządzeniom, jeżeli nastąpi zastój ich rozwoju.

I do tej ewentualności przystosował z góry skład gabinetu.

Pomyślmy-li, jaki związek z parlamentaryzmem może mieć generał, który latami przesiaduje na ławie ministeryalnej, jako ekspozytura militaryzmu wobec reprezentacyi parlamentarnej. W Austryi, pozy-

cya ministra obrony krajowej stała się fortem absolutyzmu, obojętnego na wszelkie zagadnienia ideowo-polityczne. Georgi jest ministrem cesarskim i basta. Niczem więcej. A teraz przypatrzmy się towarzystwu dalszemu.

Minister spraw wewnętrznych: były namiestnik Moraw; minister oświaty: były szef sekcyi; minister skarbu: były kierownik urzędu statystycznego; minister handlu: były szef sekcyi ministerstwa spraw zagranicznych; minister robót publicznych: były szef sekcyi; minister kolei: tak samo.

Pozostaje jeszcze dwóch.

Minister sprawiedliwości, Dr. Hochenburger zajmuje stanowisko wyjątkowe. Nie jest urzędnikiem, nie jest posłem a mimo to, uchodzi i jest powiernikiem Związku narodowego niemieckiego. Ma niezawodnie charakter ściśle polityczny, utrzymuje przez swą osobę kontakt rządu z największym klubem poselskim. Lecz ponieważ ten klub jest obecnie wyobrazicielem hegemonii niemieckiej w Austryi, nie ulega wątpliwości, że w chwilach krytycznych poda rękę do wszystkich aktów, któreby poręczały dalsze zachowanie przewagi niemieckiej, chociażby kosztem „urządzeń parlamentarnych".

A teraz zapytajmy, co w tej kompanii małej, ale dobranej, porabia minister Wacław Zaleski?

Odbył karyerę czysto urzędniczą. Dzięki ojcu i dziadkowi, uchodzi za urodzonego namiestnika. Chwalą spryt jego, znajomość stosunków krajowych, i tym podobne przymioty, jakie u każdego wybrańca losu chwalić należy. Przy pewnej okazyi, z posady szefa sekcyi w ministerstwie rolnictwa, wpadł do gabinetu i odtąd przybrał charakter nietykalności ministeryalnej. Stał się taką „koniecznością", jaką dla Austryi jest prowizoryum budżetowe, rekrut i pozwolenie na pożyczkę.

Nie wzruszałoby to nikogo, gdyby polityczny habitus p. Wacława Zaleskiego nie nabrał od pięciu miesięcy znamion obywatelskich.

Pan Wacław jest posłem...

Nie rozpatrujemy w tej chwili sposobów, jakimi urzędnik ministeryalny, zamieszkały od lat we Wiedniu, wzbudził dla swej osoby entuzyazm poczciwych Brzeżan. Namiestnik Bobrzyński poświęci kwestyi tej niezawodnie osobny ustęp w pamiętnikach, jakie gwoli pouczenia potomności spisuje ze swego urzędowania.

Jak było, tak było, dziś pan Zaleski jest posłem i z tego tytułu winien skrupulatniej ważyć imprezy, w których się nie angażuje więcej jakiś tam urzędnik ministeryalny, lecz reprezentant myśli obywatelskiej społeczeństwa.

Pan Zaleski nie poddał się tym wątpliwościom, lecz przyjął stanowisko w gabinecie. Opowiadają, że p. Zaleski dość lapidarnie tłumaczy swą decyzyę. Do pozostania w gabinecie skłoniło go przychylne stanowisko Stürgkha dla kraju i kwita.

Ba, ale niechże nam p. Zalewski wskaże łaskawie takiego prezydenta ministrów, austryackich, któryby od czasów Taaffego, a nawet wstecz dalej, nie mówił o swej przychylności do kraju. Pan Wacław wybaczy, ale przypomina ową córeczkę, która, strofowana przez matkę za to, iż zapodziała cnotę niewieścią, broniła się tłumaczeniem: „boć mówił, że mię bardzo lubi".

„Rząd nam sprzyja"... to przysłowie upokarzające, jest zbyt wielkiem urągowiskiem, aby go wciąż jeszcze, w dobie uświadomienia społecznego bezkarnie zażywać.

I dlatego widzi mi się, że p. Zaleski naruszył wytyczną polityki, proklamowanej przez Koło polskie, a raczej tegoż prezesa p. Bilińskiego.

Skoro urzędowe niejako deklaracye Koła wypowiadały jasno tendencyę, zmierzającą do zaprowadzenia rządów parlamentarnych, przyjęcie stanowiska w gabinecie było niewłaściwością, zwróconą przeciw Kołu i tegoż prezesowi. Posłowi i członkowi Koła nie wolno naruszać naczelnych zasad reprezentacyi kraju, skoro je uznano za takie. „Sprzyjanie krajowi" mógł Stürgkh wyrazić także przez powołanie pierwszego lepszego urzędnika, jak tego kilka zachodzi przykładów w przeszłości.

Krok p. Zaleskiego jest samowolą i anarchią, których nie powinno się wytykać urodzonym i zaprzysiężonym obrońcom ładu i karności.

Chodzi zresztą o rzecz, donioślejszą od samej osoby nominata.

Chodzi o lekceważenie praw parlamentarnych, o metodę pomijania opinii stronnictwa, nawet najbardziej rządowi oddanego, w chwili wznawiania gabinetu. Koło, obwołujące zasadę rządów parlamentarnych, nie powinno ścierpieć takiego eliminowania wpływów własnych. I jakież smutne świadectwo wystawiają sobie przewódcy Koła, gdy, rozkładając ręce, wołają: „nic nie wiedziałem, niczego nie przeczuwałem"!

A teraz wziąwszy pod uwagę bardzo podejrzane intencye Stürgkha w traktowaniu „urządzeń konstytucyjnych", łacno przyjdzie zakonkludować, jakim ewentualnościom przeciwstawia się reprezentant Koła w gabinecie.

Wprawdzie ze stron kilku zapewniono, że p. Zaleski nie podpisze rozporządzeń cesarskich na podstawie § 14., gdyż jest posłem, ale to uspokojenie wcale nie uspokaja. Najpierw dlatego, że nie trudno illuminować się bohaterstwem w bitwie, która może dopiero nastąpi, a powtóre dlatego, że późniejsze takie ewentualne bohaterstwo właśnie z punktu widzenia tradycyjnego stosunku Koła do korony, byłaby w oczach obrońców owego punktu widzenia wielkiem głupstwem.

„Genialna" metoda polityczna przewódców Koła poniosła u wstępu ery Stürgkha porażkę dojmującą.

JAN HUSKOWSKI.

ZNIKAJĄCA DAMA.

Nad miastem rozwłóczyły się brunatne dymy lokomotyw, kominów fabrycznych, palenisk asfaltowych. Duszne letnie powietrze nasycone było przeróżnymi odorami z podwórz i źle wyczyszczonych kanałów. Jakkolwiek zmierzch już nastał, nie prześwitywały z nieba gwiazd promienie i pierścień księżyca nie ukazywał się szukającym oczom przechodnia. Widocznie błękit był zachmurzony, albo też miejskie powietrze na podobieństwo chmur zatłaczało niebieskie perspektywy, oddzielając miasto od nieba. Jedynie świetliste kłęby latarnianych i wystawowych płomieni rozmraczały ulice, szemrzące ludnością. Zewsząd zlewał się strumieniami blask żółty w ciemne czeluści zaułków i bulwarów, którymi paradował tłum ociężały, gnuśny, dyszący leniwym żarem letniego wieczoru. Migotały pstrokacizny strojów, barwy ukwieconych damskich kapeluszy, połyskiwała czerń lśniących cylindrów, majaczyły tysiączne pary oczu tajemnicą nadchodzącej nocy. Tupot i szuranie stóp po trotuarach, bełkot mnogich rozmów, dzwonki tramwajów, dudnienie eleganckich pojazdów i wozów z żelastwem, tu i ówdzie zabłąkane oddźwięki orkiestr, wykrzykiwania kolporterów... Wszystkie te głosy w dziką i rozpasaną zlewały się orgię jarmarcznej wrzawy i rwetesu. Lecz tłum, znakomicie współżżyty z ową bezsensowną orgią podźwięków, posuwał się naprzód, baczny na wszystko, wyławiający z chaosu możliwie największą sumę wątpliwych zresztą dla się zadowoleń, jednostkową wolą dobywający z pozornego mętu zdobycze także i dla swych czystych pożądliwości.

Na mniej ruchliwą przestrzeń ulicy wypadł z tłumu młody mężczyzna, który, oglądnąwszy się parokrotnie, przystanął nagle, jakby czemś zaambarasowany. Binokle na nosie, krótka, ścięta w klin broda, twarz ściągła, wyraziste zaś rysy o subtelnym profilu świadczyły, że należy do sfery t. z. intelligentnej. Możnaby zeń nawet śmiało wyczuwać arystokratę, gdyby nie zaniedbany ubiór i kamasze o krzywych, schodzonych obcasach. Strój jest przecie pierwszym warunkiem na krew błękitną. A filcowy, o dużem rondzie kapelusz nalegał poprostu na bacznego obserwatora, aby zaliczył nieznajomego do kategoryi artystów-malarzy, lub literatów. Ale ponieważ dla nas, kim był ów z zawodu, jest rzeczą zgoła obojętną, jako że to, co przeżył i przeżywa w swem wnętrzu, zarówno przeżyć mógł szewc, jak i wysoki dostojnik, przeto nie będziemy mu już więcej poświęcali uwagi zewnętrznej, poczynając natomiast współdziałać z nim psychicznie.

Otóż, jak wiadomo, stanął on w zamyśleniu na ulicy. Cóż to mogło mieć za znaczenie? Nie omyliłby się, ktoby sądził, iż mężczyzna ten nie wiedział, co zrobić z nadchodzącym wieczorem. Było tak istotnie. Czuł się niewymownie znudzonym. szukał więc rozrywki. Ale jakiej? Najbardziej mu odpowiedniej. To mało. Trzeba wiedzieć, jakiej. Ach, kto jest doświadczony, nie pyta o to. Czego o tej porze szukać może młody samotny mężczyzna? Trudniejsza byłaby niechybnie odpowiedź, gdybyśmy ujrzeli młodą pannę, mężatkę, albo podlotka, zamiast niego. Wówczas należałoby przypuszczać koniecznie istnienie jakiegoś przypadku, a może nawet wypadku. Ale młody mężczyzna? Każdy wie chyba dobrze, że...

Najlepiej się jednakże przekonać, aby potem nie odpokutować za nietrafne, dajmy na to, domysły. Podejdźmy doń przeto, przedstawmy mu się i wszystko zeń wyciągnijmy zręcznym interwiewem. Tak będzie najlepiej.

— Panie, jak pańska godność?

Na twarzy nieznajomego odbiło się jeszcze głębsze zastanowienie.

...Moja godność? Zaraz... w tej chwili właśnie zapomniałem, myśląc o czem innem... Zaraz... Jakże to brzmi moje nazwisko?... Aha, już wiem! Ja się nazywam... Dante Alighieri... Cóż znowu? Zwaryowałem chyba... Wszak jestem Polakiem... No, nareszcie! Nazywam się Filip Udręka...

— Wspaniale! Filip Udręka!

...Tak jest, Filip Udręka. Tam do licha... o czem to poprzednio myślałem?... Ciekawe jednak... przedstawiam się samemu sobie... To przecież komiczne! Szczególne mam jednak nazwisko... z tylu składników... Zaraz... Na przykład „Filip z konopi“... „Filip z konopi“... No, w tem nic pochlebnego... Fi... Fi... Aha! „Pana Fi-fi“... grano coś podobnego w teatrze... A potem „lip“... Drugi przypadek liczby mnogiej od lipa... „Wieczór pod lipami“... Jak to się wszystko doskonale składa! Dalej „ud“. Także drugi przypadek liczby mnogiej od „udo“. Mnóstwo słów: uderzyć, udławić, udaremnić, udusić... Okropne! Było „ud“, pozostaje jeszcze „ręka“ — i już wszystko. Ręka, ręka, ręka — bardzo dobrze! To mi się najlepiej podoba. Ciekawym, czy w tem wszystkiem jest coś z przeznaczenia...

— Filipie Udręko, dokąd-że to poniosła cię myśl twoja? Żali-ż po to stoi się na ulicy, aby myśleć o takich głupstwach?

...Bynajmniej. Na ulicy stoi się poto, żeby.. Poco się stoi na ulicy? Niechybnie zwaryowałem skoro już nawet tego rodzaju pytania cisną mi się do mózgu. Stanąłem na ulicy, bo mi się tak podobało...

— Ej-że?!

...Właściwie przystanąłem w tym celu, aby się zastanowić nad tem, jak przepędzić czas...

— I co?

...Nic. Przecież do stu tysięcy miałem jakiś cel, wychodząc z domu...

— Wyszedłeś bez celu, nudziłeś się...

...Teraz już sobie wszystko dobrze przypominam. Wyszedłem z domu w nadziei, że spotkam ją...

— Kogo?

...Ją...

— Kogo?!

...Kobietę, którą kochałem...

— Tyś kochał?!

Filip Udręka rozejrzał się dokoła podejrzliwym zezem w przypuszczeniu, że ktoś tuż z poza jego pleców zadał mu to szydercze pytanie.

...Naturalnie, że kochałem! — wybuchnął w głębi wnętrza swego.

— A teraz już jej nie kochasz?

...Teraz ją szukam.

— Tylko szukasz?

...I kocham także!

Filip Udręka z niecierpliwością trzasnął laską o kamienie uliczne.

— Ostrożnie, bo złamiesz laskę...

...Z miłości dla niej... A niech to wszyscy dyabli! Jabym dla niej wszystko, nawet życie...

— A zastrzeliłeś się, gdy cię opuściła?

...Cóż z tego, że się nie zastrzeliłem. Ale miałem ten zamiar.

— Kłamiesz!

...Bynajmniej. Jeśli zaś nie popełniłem samobójstwa, to tylko dlatego, że...

— Dlaczego?

...Tak mi się podobało!!!

Filipowi Udręce, jakkolwiek wcale głosu z piersi nie wydobył, zdawało się, iż wrzasnął takim głosem, że się obejrzeli nań wszyscy przechodnie.

...Zresztą wytłumaczę, dlaczego nie miałem ochoty przenieść się na tamten świat: mam zbyt tęgi syntetyczny umysł. Życie, mimo wszystko, posiada dla mnie zbyt wiele treści i jest zajmujące.

— A widziałeś ty kiedy tę kobietę?

...Owa! Widuję ją codziennie. Niepoprawna kobieta, co dzień z innym przestaje mężczyzną.

— Gdzie jest i mieszka twa ukochana?

...Podobno zagranicą.

— No, widzisz! I tak ją krzywdzisz podejrzeniami...

...Tak, bo niema jej, a jednak jest...

— Czy to możliwe?

...Możliwe. Ona mieszka w tem samem mieście, co i ja, a jednocześnie i gdzieindziej... Może już zobaczę ją lada chwila.

— W chwili, kiedy ją dostrzeżesz, podejdź do niej.

...Nie mogę. Ona mnie nie zna.

— A ty ją znasz?

...Znam. Tyleśmy przecie czasu przeżyli wspólnie!

— I ona cię nie zna?!

...Ona mnie nie zna. Zwykle przechodzi koło mnie, nie zwracając najmniejszej uwagi.

— Pokaż mi ją, a pomogę ci. Przywołam ją do stanu rzeczywistości i pozna cię...

...To niemożliwe. Zresztą sprobójmy.

Filip Udręka zakręcił się i wpadł w tłum uliczny. Jarzącym się fosforycznie wzrokiem obejrzał mnóstwo twarzy kobiecych, ale nadaremnie. Czuł się dzisiaj wyjątkowo podrażniony.

...Już dzisiaj nie przepuszczę jej spokojnie. Zdemaskuję wobec wszystkich, żeby tam nie wiem co...

— Cóż ona zawiniła?

...Oszukuje mnie, zdradza. Nie dość jej na tem. Razu pewnego byłem w kinematografie i widziałem, jak w moich oczach pieścił i całował ją jakiś obrzydliwy starzec, a ona z objęć jego patrzała na mnie, śmiejąc się szyderczo...

— Co uczyniłeś wtedy?

...Wyjąłem rewolwer i dałem strzał. Ale trafiłem już tylko w koguta, wyskakującego na ekran. Spóźniony to był strzał. Potem policyantowi, który przyszedł mnie za to aresztować, kazałem ją także aresztować.

— Za co?

...Przecież to bezczelność włazić na ekran kinematograficzny i w oczach wszystkich oddawać się rozpuście. Ale policyant niestety sprawdził, że była to tylko fotografia jakiejś artystki kinematograficznej, wcale nawet do niej niepodobnej. A na płótnie przybrała na się formalnie postać mej ukochanej. Jak oszustka.

— A widziałeś ją jeszcze kiedy?

...Milion razy. Raz stałem znowu przed wystawą pewnej księgarni. Nagle wszystkie książki podniosły się z półek, przylgnęły do szyb i nic... Aż tu patrzę i widzę jej twarz w tylu egzemplarzach, ile było książek na wystawie. Rozwścieczony tem stłukłem szybę...

— I co?

...I nic... Aresztują mnie. I wyobraź pan sobie, kto w biurze policyi siedział zamiast komisarza? Ona!!! I fałszywy ten komisarz chce ściągać ze mnie protokół. Naturalnie robię awanturę i chcę ją bić... A to był, panie, prawdziwy komisarz policyi, nie ona. Kiedy się ona weń przemieniła — nie wiem. Dość, że było tak, jak opowiadam...

— Oskarżyłeś ją pan?

...Ma się rozumieć. Panie komisarzu — mówię — to straszna kobieta. Włóczy się po kinematografach, wystawach, ulicach i licho wie, gdzie jeszcze. Dziś chodzi po ulicy z oficerem strojna i wspaniała, na drugi dzień żebrze pod kościołem, kiedyindziej jedzie karetą, przepyszna, niby pierwszej wody arystokratka, potem znów ją widzę, jak sprzedaje kwiaty, albo drukowane listy miłosne. Raz nawet widziałem, jak ją przejechał tramwaj...

— No, dość już tej czczej gadaniny, Filipie Udręko. Zdaje mi się, że jej nie kochasz...

...Masz tobie. Ja ją kocham, ale jabym ją zabił, gdyż mnie prześladuje...

— Chodźmy, i ja ciekaw jestem ją zobaczyć.

Filip Udręka zatrzymał się koło wystawy, śledził bacznie przejeżdżające omnibusy, powozy, oglądał wszystkich przechodniów, ale nic podejrzanego nie zauważył. Dopiero po jakimś czasie błądzenia po mieście stanął, jak wryty, tragicznym wpatrzywszy się wzrokiem w nadchodzącą z głębi ulicy damę.

...To ona!

Z bladej, ściągłej twarzy, ukrytej pod olbrzymią krysą kapelusza, żarzyły się pełne otchłannych uroków oczy. Młoda dama szła, szeleszcząc czarnym jedwabiem stroju, wparta tajemnicą swego wzroku w znieruchomiałe, ciemne od skupionych natężeń, źrenice Filipa Udręki. Wiał od niej czar magiczny. Magnetycznie wlokła za sobą wzrok patrzącego, pogrążała go w sobie sondą, szukającą jej wnętrza. Puszyste strusie pióra kapelusza chwiały się fantastycznie w powietrzu, lśniąc smolistym połyskiem w mdłem oświetleniu latarń. Zjawisko iście z dna piekła, aż groźne złowrogą swą pięknością.

...To ona!

Filip Udręka, gdy dama już się zrównała z nim, przystąpił zdeterminowany i rzekł głuchym, od nagromadzonego w głębi duszy tragizmu, głosem:

— Teraz nie ujdziesz mi, ty!

Dama przystanęła z przebiegłym błyskiem w oczach. Skinęła głową.

— To ty?! Dobrze, że cię spotykam...

To odezwanie się jej osłabiło jego rozpęd. Miał czynić jej wyrzuty szydercze i bolesne, tymczasem ona widzi go chętnie. Zoryentowawszy się przeto, iż niechybnie teraz z łatwością będzie z nią mógł dojść do porozumienia, wykrzyknął głosem, nabrzmiałym rzewnością:

— Nareszcie odnajduję cię żywą po tylu latach rozłąki!

— Więc to ty, ukochany? — zawołała z patosem dama.

— Tak, to ja, pełen nienawiści i szalonej ku tobie miłości. O, wiecznie uciekające mym oczom zjawisko, o, królowo moja!

— Skoro się już odnaleźliśmy, będę ci już teraz królowała z rozkoszą. Odprowadź mnie do domu — zaproponowała sprytna dama.

— Ale wprzód mi przysięgnij, najdroższa, że nigdy już nie przemienisz się ani w wystawę sklepową, ani w bohaterkę kinematograficzną, ani w konnego policyanta, ani przekupkę...

— Do tyla nie będę już nigdy lekkomyślną. Milszą mi własna uroda, niźli wszelkie przeobrażania się w inne postacie. Przysięgam ci!

— A więc sprawa załatwiona. Pójdę z tobą teraz choćby na kraniec świata.

Przemykali się ulicami, dyalogując patetycznie, ożywieni, pełni chęci najgorętszych.

Dama stanęła wreszcie przed jakąś kamienicą.

— Tu mieszkam.

— Myślałem, że zagranicą.

— Nigdy nie byłam zagranicą.

— Zaproś mnie do siebie.

— Mąż mój jest w domu, nie mogę.

— Ty masz męża?!

Filip Udręka był spiorunowany.

— Od lat 13 jestem mężatką.

— Tak? — Czyż to możliwe? Wszakże lat temu 5, kiedy cię poznałem, byłaś panną. Chyba mnie oszukujesz!

Zaperzył się.

— Kto jesteś? Może ty nie jesteś nią...

Dama uśmiechnęła się rozbrajająco.

— Jestem, napewno jestem. Nie rób-że mi pan awantury! Czyż nasze ekscentryczne poznanie się miałoby tak rychło być rozwiane?

Filip Udręka przystąpił do czarnej damy i przyjrzał się jej z odległości 1 centimetra.

Cofnął się przerażony.

— Tyś tylko do niej podobna! — ryknął.

— A więc... — szepnęła czule, słodko.

— Zginiesz!!!

Wymierzył rewolwer w pierś czarnej damy.

— Wraz z tobą zginie wszelkie podobieństwo, które mnie udręcza!

— Szaleńcze!

Padł strzał.

Czarna dama runęła na bruk. Ponurym zezem błysnęły latarnie.

W kłębach ulatującego w powietrze dymu majaczyła twarz ukochanej zabójcy, twarz z drgającemi powiekami. Co chwila się zamykały i otwierały całkiem mechanicznie, w równych sekundowych odstępach. Było to jakby niedołężne naśladowanie mrugania z ukontentowaniem oczyma przez misternie skonstruowany automat, przedstawiający twarz kobiecą.

Filip Udręka z odkrytą uroczyście głową stał na ulicy i patrzał tępo gdzieś w górę...

POEZYE.

STANISŁAW FALKIEWICZ.

WICHER NAS PĘDZIŁ.

Wicher nas pędził z grzbietu na grzbiet fali
pośród skowytu i warczenia burzy.
Przedemną w łodzi stał wódz tej podróży
w nieznane lądy; — w tyle wiosłowali,
prężąc ramiona i piersi ze stali,
mężni druhowie. Że się wnet rozchmurzy
szary skon nieba i ląd się wynurzy
z topieli, jak sen słoneczny w oddali —
wszyscy wiedzieli. Wódz nasz pochylony
stał, jak zrąb masztu ponad dziobem łodzi —
w czarną głąb patrzał, jak jastrząb, gdy godzi
w zdobycz pod słońcem i rozwiera szpony —
witał już brzegi nad falą sterczące,
pianą zbryzgane, a nad lądem słońce...

JADWIGA MOSZYŃSKA.

BRACIOM WALCZĄCYM.

Nie nam, o bracia, szukać przystani,
Nie nam zarzucać kotwice!
Nam — siłę młodą życiu nieść w dani
Na czoło włożyć przyłbicę.
Nie nam się korzyć, gdy zawierucha
Zgiąć nas ku ziemi zapragnie!
Nam stać na straży wolnego ducha,
Co ku swym celom byt nagnie.
Bo my, jak orły, którym pioruny
Często świeciły w źrenice,
Szli przez pożarne gruzy i łuny,
Przez własnej duszy krwawicę.
Bośmy nie znali beztroskiej chwili,
Nie ukochali złudzenia...
Bośmy z pucharów życia nie pili
Mętów i fałszu istnienia.
Nie nam więc szukać cichej przystani,
Nie nam zarzucać kotwice.
Nam — siłę młodą życiu nieść w dani,
Na czoło włożyć przełbicę,

Dr. MICHAŁ JANIK.

NOWE FALE ANTYSEMITYZMU.

(Dokończenie).

Jednak uprzedzenia nie zaginęły. Nie wymarł duch nietolerancyi, nie ustało z jednego szkodliwego faktu ryczałtowe potępianie ogółu, fanatyzm i ciemnota po obu stronach nie przestały dorzucać zarzewia, nie przestały szukać kozła ofiarnego, ażeby odwrócić uwagę od źródła istotnego klęsk i niepowodzeń narodowych. Opinie, pochodzące z czasów saskich, zaczęła przypominać warszawska „Rola“, za nią poszły „Głos narodu“ i „Słowo Polskie“. Tendencye ich podążyły w kierunku ściśle demagogicznym, po linii najłatwiejszego i oraz najnierozsądniejszego myślenia. Mogły też liczyć na powodzenie u niewybrednych czytelników. Poco trudzić się nad rozwiązaniem pierwszorzędnego problemu społecznego, poco szukać przyczyny niedoli społeczeństwa, gdy mam gotową na wszystko receptę: „wszystkiemu winni są żydzi“ — gdy, nie mogąc oprzeć się słusznym argumentom, mam w zanadrzu odpowiedź: „to pisał żydziak, to pismo żydowskie“ itp. Przyczyną, że opinie tego rodzaju kursują bardzo często w społeczeństwie, jest nie tylko chęć do łatwego myślenia albo raczej niemyślenia, ale zarazem duch reakcyjny, który obecnie nad wielką częścią Polski zapanował i przypomina pod wielu względami stosunki z czasów saskich, z okresu zdziczenia i anarchii. Rodzicielami ducha reakcyjnego: obłuda, szowinizm i separatyzm, zaczęte po stronie chrześcijańskiej, zakończone syonizmem, litwactwem i podtrzymywaniem żargonu niemieckiego po stronie żydowskiej. Że rezultat takich stosunków musi być dla całości narodowej niepomyślny, jak był szkodliwym w okresie antysemityzmu saskiego, zbyteczna uzasadniać.

Dla opinii polskiej nieuprzedzonej nastała konieczność szukania odpowiedzi i wskaźników na przyszłość. Rola to niewdzięczna, narażająca na tanie anathema, niemniej dla zdrowia społecznego konieczna. Z kwestyi ogromnej wybierzemy tylko kilka tematów, zadamy kilka pytań, spróbujemy dać kilka odpowiedzi. Mniejsza o to, czy będą niezadowoleni antysemici i asemici, czy zżymać się będą syoniści i inni separatyści. Chodzi o postawienie kwestyi bez uprzedzeń, ze stanowiska ogólnonarodowego, w myśl zasady: amicus Plato, sed magis amica veritas, bez twierdzeń dogmatycznych, z chęcią dojścia do prawdy, lub co najmniej do rozumnych zasad w postępowaniu.

Bierzemy kwestyę żydowską tak, jak ona przedstawia się dzisiaj, przy równouprawnieniu obywatelskiem pod dwoma zaborami, z brakiem praw u obu stron pod zaborem największym. Z cyfr wyżej przytoczonych wynika jasno, że zachowanie się żydów względem społeczeństwa chrześcijańsko-polskiego jest rzeczą największej wagi. Wspólne drogi zapewniają obu stronom większość nie tylko liczbową, ale w wyższym jeszcze stopniu kulturalną i materyalną, o ile chodzi o ogół obywateli, zamieszkujących terytoryum dawnego państwa polskiego. W prowincyach poszczególnych stosunki wprawdzie mniej są korzystne, w każdym razie i tam nawet zapewniają złączonym siły i środki bardzo poważne. Usuwając żydów od wspólnego działania, pozbawiamy się współrodaka, lub choćby tylko sojusznika pierwszorzędnej wartości, co więcej, narażamy się na to, że żydzi, a przynajmniej część ich może łączyć się z naszymi nieprzyjaciółmi, redukując przez to w bardzo wysokim stopniu polskie zasoby narodowe. Rozumna polityka polska nakazuje tedy czynić wszystko, ażeby chrześcijanie polscy działali z żydami wspólnie, lub co najmniej w ścisłym sojuszu. Co nakazuje żydom ich polityka żydowska? Nie mam tu oczywiście na myśli żydów Polaków, którzy połączyli się z Polakami chrześcijanami braterstwem doli i niedoli. Myślę o owej rzeszy nieoświeconej, zdanej na samą siebie, a także o owych oświeconych nawet, na pół zrusyfikowanych żydach litewsko-ruskich. Dla tych sojusze chwilowe, lub stałe przeciw Polakom mogą się niekiedy wydawać pozornie korzystne, w rzeczywistości jednak muszą się obrócić na niekorzyść żydów, gdyż naprzód owi niekulturalni chwilowi sojusznicy żydów są urodzonymi antysemitami, powtóre nie mogą nie pogardzać sprzymierzeńcem, który łączy się sojuszem wyłącznie z interesu. Doświadczenie dotychczasowe nastręczyło niemało tego rodzaju przykładów i dowodów.

Zarówno zatem polityka polska, jak i interesy specyficznie żydowskie nakazują obu tym stronom iść razem do lepszej przyszłości. Jeżeli jednak ktoś zauważy, że przypisywanie sojusznikowi żydowskiemu pierwszorzędnej wartości dla polskich interesów narodowych jest przesadą, tego niech pouczą fakty. Niech zechce obliczyć ilość książek polskich, kupowanych przez żydów, ilość pieniędzy żydowskich, łożonych na polskie teatry, koncerty i inne cele narodowe, niech obliczy ilość księgarzy żydowskich, trudniących się wydawnictwami polskiemi w kraju i zagranicą, niech uwzględni działalność dziennikarską i finansową żydów, a będzie miał nad czem się zastanowić. Co prawda — obie ostatnie działalności, zwłaszcza dziennikarska, podlegają wielu zarzutom. Lekko myślący powiadają: „ależ żydzi pracują w dziennikarstwie wszystkich partyi i wszystkie razem dla własnych celów bałamucą“. Jest to zarzut, który z tą samą siłą zwracać się może przeciw dziennikarzom chrześcijańskim i dlatego ze stanowiska narodowego wydać się musi niedorzeczny, tem więcej, że, jeżeli jakieś pismo polskie traktuje bezstronnie sprawy żydowskie, nazywa się je żydowskiem, antynarodowem i t. p. Słowem — zarzuty podobne są jednem błędnem kołem niedorzeczności. Z faktu, który powinien być raczej tłumaczony na korzyść żydów, iż część ich tak dalece zasymilowała się, że została zróżniczkowana na te same stronnictwa, na które dzielą się chrześcijanie, wysnuwa się uchybiające wnioski oskarżenia.

Rozpatrując kwestyę żydowską, ma się wrażenie, że społeczeństwo chrześcijańskie żąda od żydów więcej, aniżeli od samego siebie. Grubemi literami wypisuje się każdy błąd żydowski, najwięk-

sze grzechy własne przemilcza się, lub poczytuje za cnoty. Widzi się kapitalistę, lichwiarza i kamienicznika-spekulanta żydowskiego, nie widzi się własnego; widzi się nędzę i emigracyę chłopa chrześcijańskiego, nie chce się widzieć tej samej niedoli żydowskiej; widzi się zbrodniarzy, zdrajców i oszustów żydowskich, nie chce się widzieć takich samych chrześcijan. Kąt patrzenia jest tedy niesprawiedliwy i niegodny poważnie myślących statystów i polityków polskich. Bo oto krótkie zapytanie. Czy można mówić na seryo o niższości etyki żydowskiej? Tak może mówić tylko ten, kto zapomina, że chrześcijanizm wyszedł z mozaizmu, że księgi Starego Zakonu są księgami świętemi dla chrześcijan, że apostołowie i pierwsi nauczyciele kościoła wyszli z żydostwa. Tak może mówić ten także, kto zapomina o cnotach rodzinnych u żydów i o ich przywiązaniu do tradycyi, które i u chrześcijan uznane są za świętość. Nie należy więc żydowskości jako takiej przypisywać grzechów niepopełnionych, źródeł złego trzeba szukać w stosunkach społecznych, a wtedy łatwiej znajdzie się winy obopólne, łatwiej też wykryje się lekarstwo na obopólne niedomagania.

Jest tylko jedna okoliczność, która na pierwszy rzut oka nieprzyjemnie uderza i nie razić nie może, dopóki stosunki pod tym względem zupełnie się nie odmienią. Chodzi mianowicie o uporczywe używanie przez żydów żargonu niemieckiego, albo wzrost niemczyzny nawet na ziemiach etnograficznie polskich. Jeżeli bowiem na Litwie i Rusi żydzi okazują małą znajomość języka polskiego i używają w domu żargonu, lub ruszczyzny, trudno domagać się od nich większej miłości języka polskiego, aniżeli wymaga się tego od chłopów łacińskich, którzy tam zamieszkali, również przeważnie po polsku w domu nie mówią i umieją po polsku mniej jeszcze, niż żydzi. Takiego stanu rzeczy są inne zgoła przyczyny, a wina raczej po stronie chrześcijańsko-polskiej. Nie w narzekaniu też znajdzie się na to rada, ale w rozumnie obmyślonem, o ile możności wspólnem, działaniu. Gorzej przedstawia się sprawa na ściśle polskiem terytoryum, które też — według mojego przekonania, — bezwzględnie w oczy wpadając, rodzi w pierwszym rzędzie domorosłych zwolenników antysemityzmu. Nie uwalniam tutaj żydów od zarzutu, zwłaszcza w czasach najnowszych w Galicyi, nie mogę jednak pominąć przyczyn, które tak nieznośny stan rzeczy utrzymały i mogą żydów poniekąd usprawiedliwić. Epoka ghetta nie została niestety zamknięta. Społeczeństwo żydowskie i samo tego chciało dla względów rytualnych i trzymane było usilnie przez chrześcijan w zupełnem wyodrębnieniu. Przepisy obrządkowe jednego i drugiego wyznania nie pozwalały stanowczo na małżeństwa mieszane. Na domiar ścigała żydów zbyt często niestety okazywana pogarda pauprów, studentów różnych szkół i innych młokosów, niekarana i niewzbraniana z małymi wyjątkami przez starszych. Czy w takich warunkach istniała możliwość asymilacyi językowej, tem bardziej, że żydzi żyli w Polsce gromadniej, niż gdzieindziej i łatwiej im było poprzestawać na towarzystwie współwyznawców, co zresztą dawniej musieli robić z konieczności? Czasy ostatnie przyniosły pewne zmiany. Młodzież żydowska, przynajmniej w Galicyi, musi uczęszczać do szkół publicznych i uczy się po polsku. Trzeba skonstatować, że do tego języka chętnie się garnie i serdecznie się do niego przywiązuje, przenosząc następnie tę miłość ze szkoły do ogniska rodzinnego. W ciągu piętnastoletniej pracy nauczycielskiej miałem dwóch uczniów żydów, jednego tylko chrześcijanina, którzy z własnej woli znali całego „Pana Tadeusza“ na pamięć. W podróży swojej do Ameryki spotkałem tam rodziny żydowskie, których dziadowie wyemigrowali, a wnukowie jeszcze mówili ze sobą po polsku. Objaw to niewątpliwie wyjątkowy, ale nawet wyjątku takiego nie udało mi się zauważyć w żadnej rodzinie chrześcijańsko-polskiej, choć obracałem się przeważnie w towarzystwie chrześcijańskiem.

Napisałem wyżej, że epoka ghetta nie została niestety zamknięta — i to nie dla tłumów, ale dla ludzi oświeconych. Nie chcę nikogo oskarżać, ale śmiem powiedzieć, że głupi przesąd jeszcze dzisiaj oświeconego mieszczanina, chłopa i żyda nie uważa za dobre towarzystwo. Wtem zaś cudactwie superstycyi chłop znowu, czy mieszczanin oświecony uważa żyda podobnie za coś gorszego. Brak nam jeszcze dzisiaj najelementarniejszych więzi społecznych, co nie może przynosić dobrych owoców. Zasługi obywatelskie najszlachetniejszego żyda bywają lekceważone i niedoceniane, próżniactwo kilkudziesięcioletnie „urodzonego“ brukotłuka jest mu poczytywane za obywatelską zasługę. Stosunki w najwyższym stopniu niekulturalne i iście azyatyckie. Czy one przyczyniają się do rozwiązania kwestyi żydowskiej w Polsce, powiem więcej, do rozwiązania kwestyi polskiej wogóle, zbyteczna opowiadać. Wierzyć jednak i spodziewać się wolno, że demokratyczny duch czasu zdruzgoce zabobony towarzyskie i, jaśniejsze otwarłszy horyzonty dla pracy w narodzie i dla narodu, przyczyni się także do szybszej asymilacyi językowej i narodowej społeczeństwa żydowskiego.

Niezrozumiałym pozostanie dla myśli polskiej syonizm i jego dzikie objawy seperatystyczne, a nawet nie tylko dla myśli polskiej, ale dla wszystkich dążeń humanitarnych. Albo żydzi są gośćmi w Polsce i muszą się zgodzić na wszystkie kaprysy i grymasy gospodarcze, albo, mieszkając w Polsce od wieków przy mogiłach dziadów i pradziadów, uważają Polskę za matkę rodzoną i na tej podstawie są w niej równouprawnionymi współobywatelami. Opinia żydów uczciwych i rozsądnych musi stanąć na drugiem stanowisku, tem więcej, że społeczeństwo chrześcijańsko-polskie, żądając równych praw i równych obowiązków, nie wymaga wcale od żydów wyrzeczenia się tradycyi wyznaniowych. Można przecież żyć w Polsce, kochać ją, uważać za ojczyznę, pracować dla niej z innymi, nie przestając wyznaniowo być żydem, jak chrześcijanizm nie przeszkadza nikomu być dobrym Polakiem, Niemcem, Francuzem, czy Anglikiem. Społeczeństwo chrześcijańsko-polskie ma jednak nie tylko prawo żądać od żydów takiego uczciwego stanowiska, musi się nadto domagać od nich celowego w tym kierunku działania na bezpośrednio do siebie zbliżonych i mających większe zaufanie współwyznaniowców. Z drugiej strony społeczeństwo to nie może podtrzymywać tendencyi separatystycznych u siebie, nie może podsycać szkodliwej waśni, bo działałoby wówczas i nie po chrześcijańsku i nie po polsku. Dobra i szczera wola musi być przykazaniem Polaków obu wyznań, aby praca poży-

teczna mogła się dokonywać, aby separatyzm nie znajdował ciągle nowego żeru, tak jałowego dla obu społeczności wyznaniowych, tak niezmiernie szkodliwego dla przyszłości narodu polskiego.

Bardzo trudną jest także kwestya zarobkowania. Duch nowoczesny dąży do zniesienia wszelkich przywilejów i zabezpieczenia każdej jednostce tego pola pracy, do którego stała się uzdatnioną. Przestarzałem musi się zatem wydać usiłowanie, które stara się utrzymać żydów przy przywileju handlowości i kupiectwa. Jak z jednej strony Polak chrześcijanin musi się zgodzić na dopuszczenie Polaka żyda do zawodu urzędniczego, nauczycielskiego, sędziowskiego i t. p., tak z drugiej strony karczmarz żydowski nie może wyrzekać na antysemityzm, jeżeli obok niego pojawia się karczmarz chrześcijanin, jeżeli organizuje się kółko rolnicze, kooperatywa, lub jakiekolwiek inne urządzenie, wypływające z dążności jednostkowej, czy zbiorowej, mające na celu zapewnienie jednostce wolności wyboru pracy i zawodu, zmierzające do ochrony zbiorowej przeciw wyzyskowi. Sprowadzić to musi niemiłe niekiedy tarcie przejściowe, niemniej proces sam wstrzymywanym być nie może, gdyż sprzeciwiałoby się to rozsądnemu postępowi społecznemu. Czynniki, odpowiedzialne za kierowanie społeczeństwem, muszą przytem baczyć, ażeby proces rozwijał się prawidłowo i spokojnie, bez gwałtownego naruszania środków zarobkowych jednostki. Ażeby zaś żadna strona nie była poszkodowana, można zastosować regulator, odpowiadający procentowo jednej i drugiej społeczności wyznaniowej, z tem wszakże zastrzeżeniem, że obejmować on może tych tylko chrześcijan i żydów, którzy Polskę uważają za ojczyznę, interesy jej za własne, przyszłość jej za dobro wspólne. Kwestya to wcale trudna, choć proces w tym kierunku już się dokonywa. Uprzedzenia spotyka się u obu stron, większe — według mojego zdania — u żydów, niż u chrześcijan. Interes patryotyczny, ważniejszy, niż wszelkie uprzedzenia, wskaże jednak rozumnym czynnikom kierującym właściwą drogę postępowania.

Pozostała jeszcze sprawa rasowości. Szowiniści lękają się przymieszek rasowych w krwi, więcej jeszcze w kierunku duchowym. Zapominają o tem, że duchowość polsko-słowiańska uległa bardzo dawno, wraz ze zmianą wyznania, duchowości włosko-łacińskiej, a przecież naród polski istnieć nie przestał. Nareszcie duchowość nie jest wartością niezmienną, lecz podlega nieprzestannemu rozwojowi. O ile zaś chodzi o krew, poradzić by można naszym „jedynym“, ażeby wglądnęli w papiery rodzinne i przekonali się, czy wyłącznie krew polsko-słowiańska pulsuje w ich tętnicach. Ziemie polskie były i są poniekąd bramą narodów. Ileż w szlachcicu, mieszczaninie i chłopie polskim krwi niemieckiej, ruskiej, litewskiej, szwedzkiej, francuskiej, tatarskiej — i nawet semickiej. Wystarczy przejrzeć herbarz Niesieckiego, zaglądnąć w archiwa miejskie, zastosować w stosunku do ludu pomiary czaszki. Czystość krwi i rasy nigdzie dzisiaj na świecie nie stanowi o narodzie. Z wyjątkiem plemion kolorowych barbarzyńców na dalekich wyspach, lub w nietkniętych kulturą puszczach, nie można mówić o czystości pod tym względem żadnego narodu. O narodzie nowoczesnym stanowi wspólność języka, posiadanie zwartego terytoryum, kilkuwiekowa wspólność dziejowa, jednolita w teraźniejszości dążność w pracy społecznej i rozwoju kulturalnym. Nie znaczy to, ażeby społeczeństwo miało na sobie specyalnie eksperymentować mieszaninę z obcymi, dla zasady, bo byłoby to niepodobieństwem ze stanowiska doboru naturalnego, niedorzecznością ze względów kulturalnych. Mieszanina powolna może jednak i musi się odbywać, gdyż na to niema rady, zwiększyć się może przy zmianie ustawodawstwa o prawie małżeńskiem, a chodzi tylko o to, ażeby każda mieszanina pomnażała polską własnosć narodową i stwarzała typy o wielkiej energii duchowej, o bogatym temperamencie, o niespożytej żywotności rozrodczej i dzielnej zdolności kulturalnej. Mało nas dzisiaj obchodzi, kto z wielkich w naszym narodzie miał w sobie krew obcą; wystarczy, że był pomnożycielem kultury polskiej.

Na zakończenie tych kilku tematów, z ogromnej kwestyi wyjętych i podniesionych, krótkie zapytanie. Kto przy metodach, o których pisałem, traci, a kto zyskuje: społeczeństwo chrześcijańskie, czy żydowskie? Mojem zdaniem — ani jedno, ani drugie, bo wolności wyznaniowej nikt nikomu nie narusza. Zyskuje zaś niewątpliwie naród polski i kultura ogólnoludzka w narodzie polskim. Usunąwszy, albo raczej uregulowawszy fanatyczne tarcia wewnętrzne, zgromadzi większe siły około sztandaru pracy narodowej, nabędzie swobody ruchów, wzmocni się na wewnątrz, stanie się energiczniejszym w rywalizacyi kulturalnej na zewnątrz. Nie stracą na tem i ci żydzi, którzy będą chcieli przechowywać ideały własne narodowe. Dla nich bowiem w wyznaniu swojem znajdą zawsze dostateczne zadowolenie. Pracując po polsku w Polsce, znajdą tu całkowite równouprawnienie, nic zaś nie stanie im na przeszkodzie, jeżeli zechcą się przenieść na terytoryum dawnego państwa żydowskiego, jak nikt nie przeszkodzi chrześcijaninowi Polakowi przenieść się n. p. do Francyi i tam obrać sobie nową ojczyznę. Teorja łatwiejszą jest niestety, niż praktyka. W każdym razie — im prędzej tego rodzaju wyobrażenia znajdą dostęp do umysłów, tem rychlej ustanie antysemityzm i syonizm, tem szybciej oba te kierunki antyhumanitarne staną się zabobonami, na równi ze średniowiecznymi upiorami i czarownicami.

LISTY Z ZESŁANIA.

(Ciąg dalszy).

Czasami „partya" zatrzymuje się w drodze i „wypoczywa" w cuchnącym „etapowym" więzieniu w oczekiwaniu dalszych rozporządzeń, lub nowego konwoju. Wtedy zazwyczaj odłączają od niej tych, których droga zbacza od sybirskiego szlaku, przyłączają za drugich — poczym następuje znów ohyda nieustannych rewizyi, dokonywanych przez żołnierzy każdego nowego konwoju, długie szeregi godzin, spędzanych bez ruchu na ławkach wagonów, lub wyczerpujące wszystkie siły zesłańca piesze marsze, dokonywane pod osłoną żołnierskiego bagnetu. Tam dopiero w sybirskim stepie objawia się nieraz niczem niekrępowane, bezmyślne w swem okrucieństwie, w całej rozpanoszonej swej pełni prawo, przysługujące żołnierzom. Jest to t. zw. „etap" — droga a zarazem przedsmak wygnania. Oto urywek z leżącego przed nami listu, illustrującego do pewnego stopnia etapowe stosunki:

„... Cały czas jechałem na skarbowym żołdzie (20 kop dziennie), bo pieniędzy ze sobą brać nie wolno. Za te pieniądze można było kupić czasem tylko dwie małe bułeczki, (jak warszawskie kajzerki), bo czarnego chleba (3 kop. funt) na wielu stacyach nie było. Oczywiście o burżujskiej herbacie nie było śród naszej demokratycznej braci ani mowy. Myśmy ją bojkotowali. Mniej więcej co tydzień sadzali nas—dla odpoczynku do—kozy. W Czelabińsku odpoczywaliśmy cały tydzień. Później „kibitka" trzęsła nas coś około dwóch tygodni. Później szliśmy pieszo, przechodząc 28—40 wiorst dziennie. Nastąpiło to wtedy, gdy nas oddali władzom gminnym. Ostatnich parę etapów ja zrobiłem nietylko na piechtę, lecz i boso, (podług metody Knejpa), po błocie, bo choć padał śnieg, ale w południe zawsze się roztapiał. Za to rano dobrze było iść". Pomimo takiego „hartowania się" autor listu „trochę" się zaziębił, ale, po przybyciu na miejsce, „już po 3 miesiącach, był „całkiem zdrów".*)

O stosunkach do konwoju, o tym czy innym brutalnym zachowaniu się władz autor nie wspomina. Zamilczania te — tak często obserwowane w listach zesłańców — wypływają tu prawdopodobnie z jowialnego tonu listu, wyraźnie bagatelizującego ujemne strony zesłania.

Po przybyciu na miejsce wygnania skazańcy zostają oddani pod nadzór miejscowej policyi. Jakim jest ten nadzór i w jakim stopniu uprzyjemnia on życie wygnańcom może illustrować chociażby następujący fragment z innego listu:

Tu (t. j. w Barguzinie**) z każdym dniem warunki zmieniają się na gorsze. Parę dni temu przyszło rozporządzenie od wice-gubernatora Biełomiestnowa takiego rodzaju: chociaż ustawa o zesłańcach mówi, że pozwolenie na wyjazd do miejscowości, leżących w obrębie powiatu osiedlenia daje naczelnik powiatu i t. d., — ze względu jednak na i t. d. — bez pozwolenia gubernatora nie puszczać ich ani na krok od Barguzina. Wszystkie prośby o pozwolenie na wyjazd należy odsyłać do gubernatora, z załączeniem następujących wiadomości o podawcy prośby: gdzie i za co był sądzony, do jakiej należy partyi, czy podtrzymuje stosunki z innemi zesłańcami, czy jest dość intelligentny, by mógł prowadzić agitacyę i t. d., prócz tego, kto i jakich przekonań pracodawca. Bez roboty cała kupa ludzi. Sz. i K. w ostatnim stadium suchot. Jako curiosum przytoczę jeszcze „obowiązujące postanowienie" gubernatora, by wszystkim miejscowym chińczykom, dla ułatwienia kontroli sanitarnej nad przybyszami przyczepiać na szyję plomby, jak to robią z towarami na komorze celnej. Więc też i chodzą teraz: sznurek tak ciasny, żeby go zdjąć nie można było i na nim plomba ołowiana. Urzędnicy (rosyjscy) śmieją się, że Chińczyków ubrali w obroże, jak psów, po wprowadzeniu w Rosyi psiego podatku. Kilku kupców chińskich wysłali do Chin za to, że nie dali sobie zawiesić plomby. Ma to niby być oznaną, że nie przybyli z miejscowości zadżumionych. Każdy kto spotka Chińczyka bez plomby ma prawo i obowiązek zaaresztować go, lub zawiadomić o nim władze, te zaś po kwarantannie mają go albo opieczętować, albo wysłać za granicę".*)

Tyle list! Pomijając końcowy ustęp jego, z którego dowiadujemy się ciekawych rzeczy o tym, w jaki sposób rząd rosyjski walczy na dalekim wschodzie z dżumą chińską — mamy tu przed sobą w krótkim streszczeniu obraz tych — że się tak wyrazimy — prawno ekonomicznych warunków, w jakich pozostają niemal wszystkie „kolonie" wygnańców politycznych w Syberyi.

Dodajemy do tego parę wiadomości, zaczerpniętych z innych listów. Przeszło stu ludzi, osiedlonych przymusowo w głuchym, zapadłym miasteczku, liczącym zaledwie parę tysięcy mieszkańców i nie mających prawa się wychylać poza niego w 20—wiorstowym promieniu bez pozwolenia władzy. Udzielanie lekcyi dzieciom miejscowych kupców dostępne jest tylko dla niewielu jużto dlatego, że nie wszyscy zesłańcy posiadają odpowiednie kwalifikacye i uzdolnienie, przedewszystkiem jednak z powodu zbyt małego zapotrzebowania pracy nauczycielskiej. O fizyczną pracę jeszcze trudniej. Mogłaby się ona znaleść tam w dalekiej tajdze, lub w górach, w kopalniach złota, albo też na Bajkale przy łowieniu ryb — na to jednak potrzebne jest — jak już wiemy o tem pozwolenie gubernatora: — to zaś ostatnie zależy od tych czy innych referencyi naczelnika powiatu, od większej czy mniejszej intelligencyi zesłańca, warunkującej możność prowadzenia „agitacyi", lub nawet... od tych czy innych przekonań przyszłego pracodawcy.

(C. d. n.)

*) list pisany 26 III (8 IV) 11 r. z Worobiowa (Syberya).

**) Barguzin 50 w. od Jeziora Bajkału w ogręgu Zabajkalskim we Wschodniej Syberyi.

*) list z Barguzina, datowany w kwietniu 1911 r. (R.)

Z TEATRU.

(„TO SAMO") — Dramat w 3 aktach Leopołda Staffa — na scenie i w rzeczywistości.

(S F.). Czy rzeczywiście „To samo" na scenie było „Tem samem" Staffa? Czy przypadkiem artyści tak świetnie grając nie przemycili d r a m a t u, którego w manuskrypcie nie było? — Wszak dobra, więc twórcza gra artysty nie ustępuje wymowie najlepszego sofisty, głosem, mimiką twarzy i gestów zdoła najoporniejszych widzów przekonać i unieść. Gra artysty może niektóre luki w umotywowaniu, załamanie zasadniczej linii, skrzywienie w pomyśle wyrównać i na jaw wydobyć pierwotną myśl — innemi słowy zdoła skoregować błędy konstrukcyjne w budowie dzieła.

A czasem zdarza się — nawet na naszej scenie — że artyści grają wspaniale, tak mistrzowsko olśniewają słuchacza i przekonują, że budzi się podejrzenie, wzrok się zaostrza, a uwolniony z pod wpływu sztuki aktorskiej ostrożniej szuka kontrabandy.

Więc przedewszystkiem przyznajmy, że takiej gry, jak w „Tem samem" już dawno nie widzieliśmy. Ta trójca: Adwentowicz, Feldman i Trapszo grą swą wywarli wrażenie i zachwycili całą widownię. Adwentowicz po eksperymentach, nieszczególnym wynikiem uwieńczonych w „Anatolu" i w „Oblubienicy morza" odnalazł siebie całkowicie w roli Stanisława Stopy. Ujęcie tej roli od pierwszego pojawienia się do ostatniej sceny (dla Stanisława prawdziwie dramatycznej) było tak jednolite i w jednym, doskonałym tonie utrzymane, że nie przesadzimy, gdy postać tę zaliczymy do najlepszych jego kreacyi. Adwentowicz odniósł zupełny tryumf: postać najsilniejszą i jedyną, która dramatowi Staffa nadaje pewną wartość tak odtworzył, iż nie zaginął ani jeden moment, ani jeden rys Stanisława Stopy. Feldman rolę Korzeckiego, łotra z pod ciemnej gwiazdy przeprowadził również konsekwentnie i prawdziwie (jedynie w scenach ze Stefanem nazbyt dobitnie wyrażał płaską uniżoność). P. Trapszo zasłużyła na wdzięczność autora, gdyż ona to przedewszystkiem w ostatnim akcie przemyciła dramat. Jeden moment niezdecydowania, jedna chwila wahania i namysłu zgubiłaby illuzoryczny dramat Staffa: akt oddania się Julii pozostałby tem, czem był w istocie swej.

Nie ulega wątpliwości, niedwuznacznie bowiem zaznaczył to autor, że chodzi o świętość dobrowolnego oddania się Julii Korzeckiej z całkowitą świadomością ważności i konsekwencyi tego kroku. Nie może być żoną Stefana, gdyż tego związał już autor nierozerwanemi więzami małżeństwa. Idzie jednak za głosem serca i popędem swej krwi: wszak życie mija, czy też my życie mijamy. Oddając się, wywalcza sobie prawo do życia, dławi przesądy i bojaźń przed tym krokiem i dalej kroczyć zamierza mężnie: ma osiągnąć szczęście całkowite, więc wolne od kłamstwa i pozorów.

Z drugiej jednak strony szanowny ojczulek, baczący o przyszłość córki nie zasypia sprawy, korzysta z nadarzającej się sposobności. Troskliwość o szczęście dziecka usypia czekiem, podpisanym przez Stefana.

Miłość bohaterską Julii i porozumienie ciche ojca jej z kochankiem przerywa demoniczny Stanisław Stopa, który wydziera staremu stręczycielowi — autor po przyjacielsku ułatwia mu to w kulminacyjnym momencie — czek — wraz z listem, w którym troskliwy ojciec dyplomatycznie starał się zabezpieczyć los swój i córki — i chcąc zapobiedz sprzedaniu Julii, wypłaca Korzeckiemu pieniądze i uwia[illegible] Julię o grożącym jej wolności zamachu.

W tej chwili Julię oślepia ta jedna myśl: więc to, co było jej dobrowolą i dumną ofiarą, wyzwaniem, rzuconem światu, martwym prawom i rządom — więc to poza jej plecami, bez jej wiedzy przefrymarczył ojciec z kochankiem. Uświadamia sobie całą hańbę i z okrzykiem „na ulicę, na ulicę!" wybiega ze sceny.

Do tego więc nader efektownego momentu dąży Staff, sitwarzając papierową rolę Stefana, którego słaby charakter nie zasługuje na ofiarę Julii i słabo motywując konieczność osatniej sceny z listem i czekiem, wydartym Korzeckiemu.

Na pytanie, czy utwór ten jest dramatem, odpowiedzieć musimy, że nie. Linia bowiem, w jakiej Staff wedle założeń swych powinien był konsekwentnie rozwijać akcyę, była tylko ta, którą kończyłoby rozczarowanie Julii, poznanie ograniczoności i słabości charakteru Stefana. Ofiara zaś jej mimo to pozostawała świętą, a akt jej był dobrowolny i z pełnej świadomości i z odwagi płynący. Pozostawałaby tylko duma z czynu popełnionego i pogarda tak dla kochanka, jak dla ojca. Rozwiązanie dramatyczne „Tego samego" nie jest koniecznem następstwem scen poprzednich. Mogła nastąpić scena zupełnie inna, choć mniej efektowna.

Element dramatyczny przemyciła w rozwiązaniu gra artystów. Jedynie dzięki tej grze. akt trzeci w utworze Staffa wywarł wrażenie. W poprzednich aktach nawet artyści nie zdołali zakryć nazbyt żmudnie r o b i o n e j ekspozycyi.

Niema nic nudniejszego na świecie, jak pretensyonalna, na zimno, jedynie dla pomysłu nowego sfabrykowana komedya francuska, bez litości i szacunku grzebana na naszej scenie. Takim poronionym i natychmiast pogrzebanym płodem jest „PAPA", dzieło spółki skądinąd bardzo zacnej, panów de Flers i Caillavet. Znana publiczności lwowskiej werwa i beztroska autorów „Gaju świętego" i „Króla" nie dopisała w nudnym i sentymentalnym „Papie". Gra zaś artystów naszych, w pogrzebowem tempie utrzymana, dokonała reszty: dobiła każdy akt śmiertelnie nudny i długi, z osobna.

Z RAPTULARZA.

NOWY PREMIER AUSTRYACKI, hr. Stürgk, wypowiedział przed parlamentem swoje credo. Najpoważniejsze pisma wiedeńskie określiły je, jako dostateczne wypracowanie szkolne na temat dobrej administracyi państwowej. Najcharakterystyczniejszą dla nowego gabinetu jest różnica w zajęciu sytuacyi między mową Bilińskiego, a Stürgha. Pierwsza była mową kandydata na premiera p a r l a m e n t a r n e g o — druga uważa parlamentaryzm tylko za wygodny parawanik dla „ponoszenia współodpowiedzialności z rządem". Pierwsze skrzypce w nowym gabinecie dzierży min. sprawiedliwości Hohenburger, który miał wstąpić do niego pod specyalnymi warunkami, jako mąż czuwający nad nienaruszalnością hegemonii niemieckiej w Austryi. Oczywiście wywołało to niezbyt serdeczny nastrój Czechów dla nowego gabinetu. Nowy premier zaznaczył w mowie programowej konieczność budowy dróg wodnych galicyjskich, pod którym jedynie warunkiem liczyć może rząd na poparcie Koła Polskiego.

UKŁAD MAROKKAŃSKI. Po kilkumiesięcznych pertraktacyach przyszło do ostatecznej ugody między Francyą a Niemcami. Dyplomatyczny turniej zakończył się niespodziewanie świetnem zwycięstwem strony słabszej, t.j. Francyi. Niemcy zrzekły się wszelkich praw politycznych w Marokku i oddają ten kraj bez zastrzeń pod protektorat republiki, (choć słowo „protektorat" w akcie starannie jest, z właściwą Francuzom kurtuazyą, pominięte). W handlu marokańskim ma panować zasada otwartych drzwi, Niemcy nie otrzymują tam żadnego uprzywilejowania ekonomicznego, wielkie przedsiębiorstwa rządowe wyraźnie są dla Francyi zawarowane. W Marokku nie otrzymała Rzesza najmniejszego ustępstwa od pierwotnych propozycyi francuskich. Druga część układu tyczy ustępstw terytoryalnych francuskich na rzecz Niemiec w Kongu. I tu odnieśli Francuzi zwycięstwo. Odstąpiony obszar jest wprawdzie duży (260.000 km.) ale za to całkiem prawie bezwartościowy. Obejmuje on okolice, leżące daleko od wybrzeża morskiego, obfite w kauczuk (mocno zresztą przetrzebiony), ale bezdrożne i bagniste. Niemcy otrzymują dostęp do Konga i Ubangi, ale na miniaturowej przestrzeni 6 km. w miejscach, gdzie otrzymali prawo budowania portów, ale nie możliwość (są to bowiem najbardziej bagniste miejsca nad obu rzekami). Dodać należy, że Francya zawarowała sobie drogi wojskowe przez odstąpione Niemcom terytorya i dotrzymanie przez nowy rząd swoich zobowiązań, przez co towarzystwa francuskie zachowują prawo eksploatacyi miejscami aż lat 20. Wzamian za „cenne" nabytki odstępują Niemcy Francyi skrawek Kamerunu, którym przypierały do jeziora Ezad, wokoło którego skupia się handel środkowo-afrykański. Zmiany terytoryalne stwarzają dla Kamerunu niezmiernie niekorzystną granicę, co wymagać będzie znacznego zwiększenia załogi, a tem samem i kosztów. W Niemczech oceniają też umowę marokkańską, jako niezmiernie niekorzystną, co znalazło dobitny wyraz w dymisyi sekretarza dla spraw kolonialnych, Lindequiste.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA nie doznała zmiany mimo znacznych posiłków, które przybyły Włochom. Mimo drakońskiej cenzury przedostają się do Europy telegramy nie tylko tureckie, ale i bezstronne, stwierdzające klęski Włochów. Pod Trypolisem przegrali oni po kolei trzy wielkie bitwy, 23, 26

kaździernika i 3 listopada i wypierani z pozycyi na pozycyę, znaleźli się stłoczeni w ścisłym obrębie miasta, dziesiątkowani kulami arabskiemi i cholerą i zupełnie zdemoralizowani. Równie nieszczęśliwie powodzi im się w Cyrenaice, gdzie Enwer-bej zdobył Dernę i wziął 9 armat i 150 jeńców.

Obok bezgranicznego niedołęstwa i tchórzostwa wsławia się armia włoska dzikiemi okrucieństwami, popełnianemi na kobietach, dzieciach i starcach, co stanowczo powinno zbudzić z bezczynnej ospałości opinię kulturalnych ludów europejskich. Dotąd tylko parlament angielski zdobył się na protest.

Aby wmówić w opinię włoską świetne sukcesy w Afryce i aby módz dalej spokojnie wyrzynać bezbronną ludność, raczył rząd włoski ogłosić aneksyę nie podbitych jeszcze krajów.

W nocie aneksyjnej przebija się jednak wyraźnie pragnienie pokoju, choć tkwi w niej i groźba przerzucenia wojny do europejskiej Turcji, jeśliby Porta rabunku nie przyjęła do wiadomości.

REWOLUCYA CHIŃSKA wzięła stanowczo górę nad rządem, któremu nie udaje się nawet zawrzeć honorowej kapitulacyi. Pod naciskiem powszechnego buntu ogłosił rząd dwa edykty. W pierwszym przyznaje się do popełnionych zbrodni i ze skruchą przyrzeka poprawę; drugi zawiera zasady konstytucyjne, obowiązujące odtąd. Są one liberalniejsze od jakiejkolwiek konstytucyi europejskiej. Cesarz zrzeka się prawa używania wojska do tłumienia rozruchów, bez pozwolenia parlamentu, zawierania traktatów z zagranicą, mianowania ministrów i sankcyonowania ustaw. Pozostaje mu tylko tytuł. Ale zwycięzcy republikanie nie chcą wchodzić w żadne kompromisy i gotują się do pochodu na stolicę. Opanowali oni całe południe i zachód państwa, odparli cesarskich od Hankou zawładnęli dolnym Jangsekiangsem z ważnym portem Szanghaj, a nawet Szantungiem na północy. Naogół rozlew krwi był z wyjątkiem Hankou, mały, porządek w zajętych przez rewolucyę obszarach wzorowy. Tylko na ciemnym, południowym zachodzie dopuszczał się lud nad zwyciężonymi okrucieństw. O ile nie zajdzie obca interwencya, los republiki Środka jest rozstrzygnięty.

SILVA RERUM.

LEGENDA O SEJMIE GALICYJSKIM. Po wioskach polskich schodzą się jesienią niewiasty na „prządki“ i opowiadają, jak to przed godami słoneczko, ażeby za mroki jesienne wynagrodzić, chodzi wieczorami po chatach i ludziom nieszczęśliwym szepce we snach słowa pociechy i nadziei. Chodzi niewidzialne, bo tylko ludzie zupełnie niewinni mogą je widzieć w jasnej postaci anioła, ale takich ludzi niema. Myślimy, że niezadługo taka sama legenda powstanie o Sejmie galicyjskim. Oczywiście waryanty będą nieuniknione. Tak n. p. autonomiści galicyjscy wieczorami jesiennymi i zimowymi przy kufelku piwa będą sobie opowiadali, że chodzi teraz po świecie jedyny Sejm polski, dobroczyńca i lekarz na wszystkie dolegliwości krajowe, że niesie niewidzialne światło anafabetom, szpitale chorym, że buduje fabryki dla podniesienia przemysłu i dobrobytu mieszkańców, rozszerza miłość do autonomii, i do „polskich rządów“. Mogą go jednakże oglądać jedynie prawdziwi autonomiści, to jest klerykali i konserwatyści i podolskie wołopasy, bo inny tłum galicyjski, języka polskiego w domu używający, widzenia tego nie jest jeszcze godnym. Legenda legendą, a racya racyą. Bo i pocóż Sejm zwoływać? Ażeby Rusini walili w tam-tam i naruszali polski stan posiadania? Ażeby jakiś niepowołany ludowiec czy demokrata ośmielił się krytykować rządy wielkopańskie i narażał przez to dobro wielkich rodów, czyli dobro ojczyzny? Ażeby robić wydatki na dyety i naruszać budżet krajowy, do którego hołocie chłopsko-mieszczańskiej wara? Ażeby — uchowaj Boże — uchwalać reformę wyborczą i dając chamstwu prawa, podawać kraj na największe niebezpieczeństwo? A zresztą p. Bobrzyński Sejmu nie potrzebuje, bo wola ludności nic go nie obchodzi, zaś p. Badeni i p. Szeptycki są chorzy. Któż będzie prezydował? Może — tfu! ażeby w złej godzinie nie wymówić — jaki zawołoka demokratyczny? Toż pobladłby splendor autonomii, toż byłaby to zachęta do istnej rewolucyi! Więc Sejmu nie będzie, bo „prawdziwa“ Polska Sejmu nie potrzebuje. Wystarczy legenda. Niech hołota przyzwyczai się do myśli, że i Polska jest legendą. O, cześć wam panowie, magnaci, prałaci, o cześć wam p...,

GEST POLSKIEGO ARYSTOKRATY. Niedawno temu paryskie pisma podały wiadomość, iż zmarły książę Józef Lubomirski, jeden z przednich reprezentantów starej polskiej arystokracyi, zapisał w testamencie 25.000 franków „Towarzystwu literatów francuskich“. Umierający magnat polski w swej, głęboko odczutej trosce o literaturę.. francuską ofiarował tę sumę, jako rzeczywisty kapitał, od którego procenty mają tworzyć nagrodę, wypłacaną co dwa lata w kwocie 1500 franków za najlepszą francuską powieść historyczną, albo typu *roman d'aventures*, z owych dwu lat. Będzie to nagroda „im. książąt Lubomirskich“...

Ciesz się narodzie, ciesz się Polsko!

Nieodrodny syn naszej starej, wspaniałej arystokracyi znów zaimponował światu, zadziwił Francuzów... Chwała i cześć polskiemu imieniu... Cieszmy się i radujmy, mości panowie! Do szeregu wielkich imion, takich, jak ks. Sułkowski, który tak hojnie, po magnacku obdarował szkolnictwo pruskie (rekompensata dla ojcowskiego rządu pruskiego za warcholstwo dzieci wrzesińskich!), takich, jak ks. Ogiński, którego mądra ostatnia wola wynagradza skarbowi rosyjskiemu dotkliwe straty z okresu tej przeklętej rewolucyi, przybywa nowy klejnot... Niech świat widzi i podziwia, jak podziwiał przed paru laty innego szlachcica polskiego, który w tym samym stylowym entuzyazmie dla kultury francuskiej zaprosił do swego dworu na Ukrainę ubóstwianą Cleo de Merode, wypłacając jej tytułem kosztów podróży 100.000 rubli...

Wprawdzie nasi najwięksi pisarze mrą z głodu i na suchoty a Macierz Śląska dla braku kilkudziesięciu tysięcy koron zamyka swe szkoły i musi wydać na łup germanizacyi całą dzielnicę polską — a tymczasem literatura francuska jeździ sobie z kokotami w automobilach i mieszka we wspaniałych pałacach i willach nad morzem... Ale właśnie na tem polega magnacki gest, szczytny poryw starej, błękitnej krwi... Historyczne „idź złoto do złota“.. — ale tego nie zrozumie hołota! A zresztą wszak... „nasza literatura“ nie zasługuje na żadne poparcie i lepiej, niech szczeźnie wreszcie całkiem na suchoty! Wszak niedawno, z okazyi zbrodni jasnogórskich, najpoważniejsze nasze organy katolickie i konserwatywne: — „Przegląd Powszechny“, „Czas“ i in. — porównały Żeromskiego i innych polskich pisarzy z Macochem, bandydatami i nihilistami rosyjskimi... Wobec czego czyż nie lepiej i nie zbożniej, by polskie pieniądze szły na wspomożenie „moralnej“ literatury francuskiej.

BEZ SERCA. Na ulicach naszego miasta odbywa się najokropniejsze pastwienie się nad zwierzętami. W ogrodach i parkach widzi się wydeptywanie trawników, obrywanie gałązek, niszczenie kwiatów. Policya i magistrat zachowują się wobec tego wszystkiego więcej, niż obojętnie. Publiczność na objawy zdziczenia również nie reaguje, często bierze w obronę swawolników. O czem to świadczy, jeżeli nie o braku serca, o braku kultury duchowej. Skąd wziąć te walery w społeczeństwie, jeżeli nikt nad nimi nie pracuje, nikt ich nie pielęgnuje. Cóż tedy dziwnego, że ten brak serca ciągnie się przez wszystkie zjawiska życia wielkomiejskiego, że we Lwowie panują pod tym względem stosunki barbarzyńskie. Woźnica bije konia, w zamian przez swego pracodawcę jest traktowany, jak bydlę. Dzieci niszczą bezkarnie ogrody, w zamian znajdują się bez żadnej opieki. Kto przypatrzy się młokosom w mundurach studenckich z papierosami w ustach, obrzucających rozpustnem okiem przechodzące kobiety, ten musi powiedzieć, że brak serca, brak kultury duchowej jest przyczyną tego zdziczenia. Kto widzi nieletnie dziewczęta na pryncypalnych ulicach, atakowane przez młodych i starych psychopatów, kto widzi centra rozpusty w samem sercu miasta, tolerowane przez policyę i magistrat, ten musi znowu nazwać to brakiem serca i brakiem kultury duchowej. Kto patrzy na wracające z dwunastówki panienki z burżuazyi, przechodzące przez szpaler wyżółkłych paniczów, o zgniłem spojrzeniu apa-

szy podmiejskich, kto zechce sercem różne te objawy zestawić i porównać, ten gorzko się zaduma nad kulturą naszego miasta. Ale co to naszych „u góry“ obchodzi! Możesz być nikczemnikiem życiowym, bylebyś był konserwatystą politycznie i formalistą w przeżytkach. Nic ci to nie zaszkodzi, raczej pomoże, bo będziesz uważanym za powolne narzędzie. Jakże nizką jest taka kultura, jak wielkim jest brak serca, jakimi obłudnikami są kierownicy oficyalnego życia publicznego, których to wszystko nic a nic nie obchodzi. Jakież okropne na przyszłość skutki takiego kłamstwa ogólnego.

SPRAWOZDANIA.

WASILEWSKI LEON: UKRAINA I SPRAWA UKRAIŃSKA. Książka potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, ażeby nastąpiło bliższe wzajemne porozumienie. Pisarz zastrzega się w przedmowie przed zarzutami: „W oczach nacyonalistów polskich niewątpliwie będę uchodził za skrajnego ukrainofila, który — kto wie, czy nie za „pruskie marki“ — usiłuje szkodzić sprawie polskiej, dopomagając „hajdamakom ukraińskim“ w ich usiłowaniach antypolskich. Nacyonaliści ukraińscy napewno dojrzą w mojej pracy widmo „historycznej Polski“, chęć obrony polskiego „stanu posiadania“ itp. „straszne rzeczy“... Wobec rozhukanej opinii obustronnej zastrzeżenie również na czasie, autor bowiem, uznając samobytność narodu ukraińskiego, nie zapomina jednocześnie o istotnych zdobyczach narodu polskiego i zdaje się nawiązywać do wspólnych horyzontów przyszłości. Najcenniejszą zaletą książki jest chęć wykazania w przebiegu dziejowym statecznej odrębności ukraińskiej, która nareszcie silnie ujawniła się w w. XVIII-ym na ziemiach zaboru rosyjskiego, a dzisiaj punkt swój oparcia znalazła w Galicyi wschodniej. Ciekawy znajdzie w książce doskonały a zwięzły wykład literatury ukraińskiej, która przez czas niemały była jedynym niemal objawem odrębnej myśli ukraińskiej i w wysokim stopniu do dzisiaj to swoje znaczenie zachowała. Polityk odczyta z zainteresowaniem obszerne uwagi o powstaniu t. zw. moskalofilstwa i o źródłach jego istnienia w teraźniejszości. Szczegółowo omówiono stosunek Ukrainy do Rosyi, a jeszcze szczegółowiej do narodu polskiego, przeciw któremu przedewszystkiem zwraca się dawniejsza i dzisiejsza polityka ukraińska. Stąd powstała walka, w której „niema faktu tak wstrętnego, popełnionego przez jedną stronę, aby mu niepodobna było przeciwstawić takiegoż faktu ze strony przeciwnej“. Walka się toczy — dalsze słowa autora — i toczyć się nie przestanie. I jeśli szczera demokracya obydwu narodów coś może uczynić, to chyba starać się o to, aby ta walka nie przybierała form tak ohydnych, aby w niej było mniej krwi i błota, a więcej poglądów szerszych, wybiegających po za ciasne szranki zaścianków powiatowych i prowincyonalnych, więcej zrorumienia interesów c a ł e j P o l s k i i c a ł e j U k r a i n y. Tylko na tle dążeń niepodległościowych obydwu krajów możliwy jest modus vivendi i — w dalszej przyszłości — sojusz między Polakami a Ukraińcami“.

W. SEDECKI: SOCYAL-LITWACTWO W POLSCE. Z teoryi i praktyki „Socyal-demokracyi Królestwa Polskiego i Litwy“.

Książka powstała pod wpływem rozmyślań nad ostatnią rewolucyą w zaborze rosyjskim, a w szczególności pod wpływem zapytania, skąd biorą się w ruchu rewolucyjnym prądy antyniepodległościowe i czy niewola Polski może być podstawą czyjegoś wyzwolenia. Źródło takich prądów znalazł autor w nacyonalizmie żydowskim, który „jest i musi być śmiertelnym i nieubłaganym wrogiem wyzwolenia Polski, gdyż jej niewola jest conditio sine qua non jego istnienia i realizacyi jego postulatów“. Przypomniawszy cały szereg najprzykrzejszych objawów tego prądu, skrystalizowanego w „Bundzie“ i jego filii S. D. K. P. i L., powiada autor o tej ostatniej, że „jest to organizacya radykalnego żydostwa rosyjskiego — i pokrewnych jemu warstw naszego, która nienawiść względem caratu i wrogość względem Polski potrafiła połączyć w ciekawej syntezie, stanowiącej istotę teoryi i praktyki naszej S. D., jest to słowem socyal-litwactwo w Polsce“. „Jest to rzeczywiście przykładem genialnej mistyfikacyi politycznej — pisze p. Sedecki (pseudonim) — kiedy kosmopolityczna solidarność rasowa żydostwa (w danym razie polsko-rosyjskiego), dla której obojętną jest sprawa wolności narodów „terytoryalnych“ (w danym razie Polski), mogła uchodzić za prawdziwą międzynarodową solidarność klasową proletaryatu (w danym razie polsko-rosyjskiego), opierającą się właśnie o wolność i niepodległość każdego poszczególnego narodu (w danym razie Polski); a nacyonalistyczny antagonizm drobnomieszczaństwa żydowskiego względem całego społeczeństwa polskiego był brany za antagonizm klasowy proletaryatu polskiego względem burżuazyi wewnątrz społeczeństwa polskiego. Tem się także tłumaczy — cytujemy dosłownie — dlaczego „postępowi“, a nawet „socyalistyczni“ żydzi, z takiem zamiłowaniem zwalczający klerykalizm i nacyonalizm u „gojów“, tyle wrzasków zaraz podnoszą, gdy się dotknąć klerykalizmu żydowskiego. Antygoizm, żargon i kahał — oto jedyne ostoje „narodowości“ żydowskiej. Ostoje te są tak kruche, że nigdzie, na nich owej „narodowości“ żydowskiej zbudować nie można było, żydzi wszędzie zachowali swoją odrębność tylko wyznaniową i tam, gdzie są nie zbyt liczni, asymilują się zupełnie z ludnością rdzenną (Niemcy, Francya, Anglia), tam zaś, gdzie na skutek nadmiernej ich ilości proces asymilacyjny idzie powoli, przechowują się jako kasta, skostniała w przesądach i tradycyach przedpotopowych, bez zabarwienia „narodowego“ (Galicya)... W ten sposób proletaryacki socyalizm w Polsce stał się własnością najbardziej nacyonalistycznego, reakcyjnego i klerykalnego drobnomieszczaństwa na świecie, które zeń uczyniło świetną broń w walce z dążeniami niepodległościowemi proletaryatu polskiego (P. P. S.)! Źródłem tego litwackiego „socyalizmu“ — Talmud, nie kapitał; podstawą jego walka ras, nie klas, antygoizm — nie klasowość!

Tendencye te socyal-litwactwa autor nazywa Targowicą i zestawia ją z Targowicą narodowej demokracyi. Pierwsza idzie pod komendą „prawdziwego litwaka“ Tyszki — druga „prawdziwego Polaka“ Dmowskiego. Pierwsza do swych kierowniczych ciał dopuszcza tylko nacyonalistów żydowskich, lub wyjątkowo zlitwaczonych Polaków, a w masach robotniczych polskich, wśród których zmuszona jest działać, tępi przedewszystkiem „sentymenty polskie“; druga nie dopuszcza do siebie jednostek, których „polskość“ może być podejrzaną z tego lub innego względu, zwłaszcza, jeśli idzie o „pochodzenie semickie“. Niedarmo S. D. została ochrzczoną „żydowską N. D-cyą“ wraz z innemi nacyonalistycznemi organizacyami żydowskiemi. I niedawno łączyła je w czasie rewolucyi nienawiść do dążeń niepodległościowych Polski i do P. P. S. Na nieszczęście polska Targowica zrodziła litwacką, nie zaś na odwrót. Gdyby pierwszej nie było, drugaby w zarodku zginęła Dzisiaj obie Targowice zbankrutowały zupełnie i dalszy bieg wypadków będzie z jeszcze większą, niż dotąd, siłą przemawiał przeciwko ich tendencyom. Upadek N. D. pociąga za sobą ostateczny i nieodwołalny upadek S. D.

Ostatnia rozpaczliwa próba uratowania odrębności „narodowej“ żydów zginąć musi wraz z wyzwoleniem się krajów, przez Rosyę zagarniętych. W rdzennej bowiem Rosyi ze względu na wszechwładną hegemonię żywiołu rosyjskiego niema i mowy być nie może o jakiejkolwiek „Palestynie w Rosyi“. Innemi słowy kwestya żydowska u nas staje się częścią składową kwestyi polskiej i znaleść swe rozwiązanie temsamem może tylko na gruncie państwowości polskiej, autonomicznej, czy niepodległościowej.

Kosmopolityzm katolicki (N. D.) i kosmopolityzm żydowski (S. D.) są to więc — dalsze słowa autora — najniebezpieczniejsi i najtrudniejsi do zwalczenia wrogowie wolności i niepodległości naszej ojczyzny. Niech więc wyrwą z tego obłędu antypolskiego litwactwo przedewszystkiem ci — kończy p. Sedecki — co twierdzą, że losy jego leżą im na sercu, i zamiast tworzyć różne antypolskie organizacye „S. D. K. P. i L.“, „lewice“, „Solidarności“ i „Bundy“, niech idą przedewszystkiem w te masy żydowskie nieść miłość do Polski i jej wielkiej sprawy. Bo tam jest ich przyszłość“!

Książka p. Sedeckiego, napisana z dużą namiętnością, czego dowodem przytoczone cytaty, porusza problem pierwszej wagi dla polskiej polityki państwowej i zawiera — naszem zdaniem — konkluzye rozumne i logiczne. Polecamy ją tedy gorąco naszym czytelnikom, którzy, jeżeliby się nawet nie zgodzili w całości na wywody autora, znajdą w niej poważny materyał myślowy i dyskusyjny, bez czego przecież żadne problemy na świecie rozwiązać się nie dadzą. Dodać należy, że autor jest Polakiem wyznania mojżeszowego, poznał S. D. zblizka i dlatego rezultat jego doświadczeń i rozmyślań na tem większą zasługuje uwagę.

NOWE KSIĄZKI.

SLIWINSKI ARTUR: Powstanie listopadowe. Nakład „Książki" w Krakowie, str. 197:

MIESES MATEUSZ: W kwestyi nienawiści rasowej. Nakład H. Altenberga we Lwowie, 1912, str. 129.

SEDECKI W.: Socjal-Litwactwo w Polsce. Z teorji i praktyki „Socjaldemokracji Król. polskiego i Litwy". Wydawnictwo „Życie" w Krakowie, str. 168.

JAURES i LAFARGUE: Idealistyczne a materyalistyczne pojmowanie dziejów. Wydawn. „Życie" w Krakowie, str. 50.

ROCZNE SPRAWOZDANIE Polskiego Uniwersytetu ludowego w Stan. Zjed. P. Ameryki. Rok szkolny 1910—1911. Adres biura: Dr. J. Szymański 1053 Milwaukee Ave Chicago Ill.

KAUTSKY KAROL: Etyka w świetle materyalistycznego pojmowania historyi. Wyd. „Życie" w Krakowie, str. 150.

SZPOTAŃSKI STANISŁAW: Po zjeździe w Rapperswillu. Wydawnictwo „Życie" w Krakowie, str. 18.

SŁOWACKI JULIUSZ: Batko zaczumlenych, pereklad Sydir Twerdochlib, Kijów 1910.

KAUTSKY KAROL: Nauki ekonomiczne Karola Marksa. Wyd. „Życie" w Krakowie, str. 277.

WIKTOR HUGO: Człowiek śmiechu, przełoż. Felic. Faleński. Nakład Gebethnera, Warszawa.

SKIERCZYC STANISŁAW: Dziewczyna w woalce. Poezye. Lwów, 1911, nakł. Altenberga, str. 174.

„ŻYCIE" wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawcy: Dr. **Aleksander Lisiewicz** i inż. **Hipolit Śliwiński.**

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO", LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".